

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

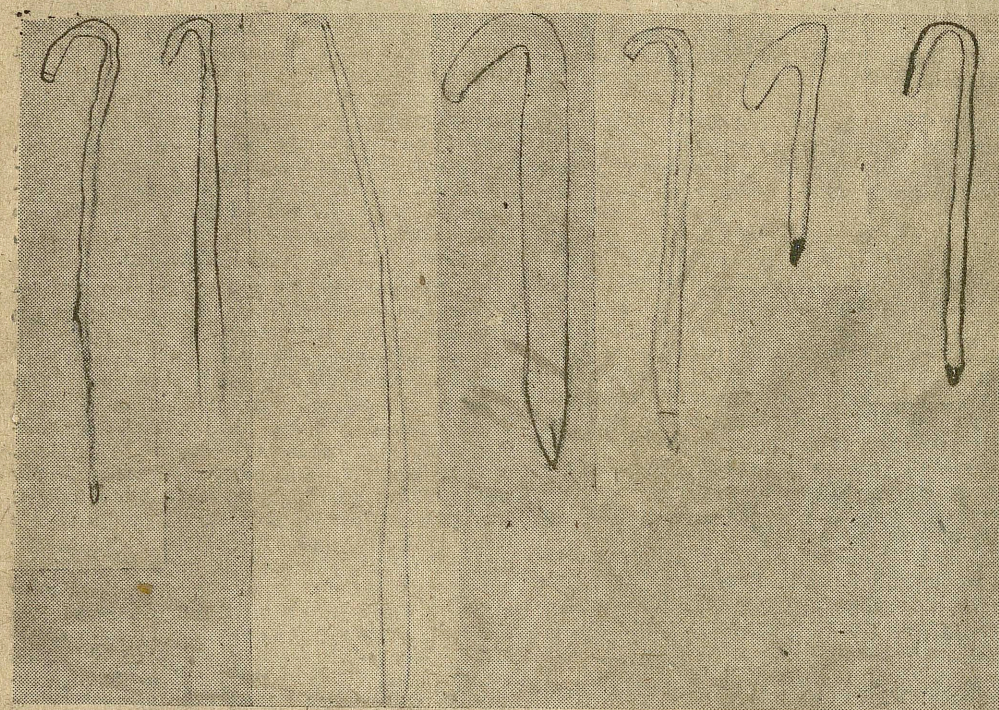
Łódź, 7 grudnia 1947 r.

Nr 47 (126)

Jan Aleksander Król

ZADANIE DLA WICIARZY

(list otwarty do Stefana Ignara, prezesa ZMW RP „Wici”)



Drogi Stefanie!
Piszę do Ciebie z wiejskiej szkółki. Te laski, które oglądasz na ilustracji, to dzieło pierwszej klasy, z pierwszych dni września. Najłatwiejsza, wstępna próba — laski. Ile w nich dziecięcego wysiłku, ile równocześnie indywidualnego wyrazu. Rozsiadłem się w tej pierwszej klasie. Tu się przecież zaczyna „kształcenie”. Po latach ci rysownicy, dziś nieporadnych lasek, będą rządzić Polską, budować jej naukę, przemysł i rolnictwo. Jakże olbrzymią przemierzają drogę intelektualnego i społecznego rozwoju. Wiemy, że jest to możliwe. Nie umiem powiedzieć Ci, jakie treści doświadczenia społecznego wyrażają się w tych rozmaitych kształtach lasek? Jedno jest pewne, że już w tych siedmiolatków są one i — jak widzisz — różne.

Gdybyś tu był, powiedziałabyś — oto zagadnienie! W tych szkrabach jest przeszłość społeczna wsi i przyszłość narodowa. Z przeszłości te różnice i jakaś ich poczesna część szkoła musi usunąć. Bo już w tych kulfonach i zakrętasach kryją się nie tylko odmiany reaktywności psychicznej i uzdolnień, ale właśnie typologia doświadczeń społecznych. Te dziwne laski to reprezentantki różnych orientacji i postaw społecznych. Nieczytelne dla nas, prawie, jak egipskie hieroglify. Ale jakże czytelna była już dla mnie odpowiedź dzieci dziesięcio i dwunastoletnich z „Domu Dziecka”. Po drugiej stronie drogi, za kościołem i plebania, hrabiowski pałac. Chłopskie i robotnicze dzieci przebywają tu po sześć tygodni. Dom Dziecka czynny jest przez cały rok. Pytałem je — czy to pałac? Odpowiedziały — pani kierowniczko! Ta fałszywa wiedza, to jeden z elementów budujących ideologię, jakiej wieś ani chce nie może, ani nie powinna. Stefanie, wręczałem parę dni temu ministrowi oświaty podanie kandydata na Wydział Lekarski. Syn chłopski z 1,5 ha, był w partyzancie, założył dwie spółdzielnie, jest współprojektodawcą szpitala wiciowego w Kazimierzu Wielkiej. Podanie rozpoczyna się od słów: Upraszam Pana Ministra... Pytałem go dlaczego tak? Bo tak jest z uszanowaniem. Mówi to 24-letni maturzysta. Jaka to „laska”? Oryginalna, niewątpliwie. Ale czy w tym się wyraziła indywidualność, czy fałszywa ideologia?

Niepewna sobie postawa do nowej rzeczywistości. Złe jej rozumienie, zły w niej udział — działacza.

GŁOS NAUCZYCIELA

Wczorajem u młodego nauczyciela pod lampą naftową czytamy Twój artykuł w „Wiciach”, jaki się ukazał po „Umowie o współpracy” młodzieżowych organizacji (OM-TUR, Wici i ZWM). Młody nauczyciel jest ambitny i zapalczywy. Zapisał się na socjologię w Łodzi. Niech pan czyta — wskazuje mi zakreślony ustęp w Twoim artykule.

„Młodzież śmieje się z werbalnych idei, szuka i żąda treści dzisiejszego życia. Formy prac organizacyjnych ulegają gwałtownym przeobrażeniom. W dyskusjach moralistyczno-ideowych zabierają głos ludzie starsi, którzy nie zdołali strząsnąć staroświeckiego ryzostunku jałowych filozofii. Młodzież chce

się uczyć, zdobywać zawód, chce odbudowywać Polskę z ruin i tworzyć nowe życie”.

Podnoszę głowę — „Słusznie napisał”. Nauczyciel wyciąga z półki IV-tom „Młodego Pokolenia Chłopów” i moje „Drogowskazy”.

Tak — mówi wreszcie — ale tu jest jedna nie załatwiona sprawa. Nowy program i nowe podręczniki wprowadzą młodzież szkolną w treść dzisiejszego życia, ale ponad nią w organizacjach znajduje się młodzież starsza, wychowana w dawnej szkole i ze swoją oceną i programem szkoły wiejskiej. Pan wie, jaka to ocena i jaki program? Pan w „Drogowskazach” poddał krytyce przedwojenne Uniwersytety Ludowe i Koła Wiciowe. Pokazał pan związek pomiędzy Wiciami i U. Ludowymi i dalej z ideologią ludomanów. Pokazał całą tę koncepcję obrony „wiejskości”, o której Ignar pisze zgodnie, że „to przestarzałe treści etnograficzno-parafialne, kulturowane sztucznie przez zdeklasowaną inteligencję chłopską”. A ja panu wskazuje jeszcze jeden związek: Szkoły — Wici i U. L. O. tu ma pan czarno na białym. W czwartym tomie Chałasińskiego „O chłopską szkołę”, niech pan czyta te masowe wypowiedzi młodych chłopów, jakiej chcieli szkoły? Reforma Jędrzejewiczów wzmocniła gettowy charakter szkoły wiejskiej. Młodzież wiejska protestuje wówczas i wysuwa swój projekt, który był niestety projektem stanowej szkoły. Żadna poprawka, co? Od takiej szkoły wiodła droga tylko na chłopski uniwersytet. Oto początek i koniec wiedzy. Oto początek i koniec rzeczywistości społecznej. Poca ja to mówię? Jestem nauczycielem. Daję elementarne, podstawowe wykształcenie. Z mojej, nowej szkoły droga prowadzi na Polskę. Ale ta szkoła nie znajduje się w próżni. Mam wokół niej

rodziców uczniów, stare pokolenie, mam plebanie, mam dzieci nie objęte szkołą. Nasza sieć jeszcze nie opanowuje sytuacji. Brak wielu ogniw, walka z analfabetyzmem nie ukończona. Mam młodzież starszą w Wiciach, z dawną, stanową koncepcją szkoły...

Czego ja chcę? Tu się trochę gubię. Jakby to panu powiedzieć? Myślę, że dla gwałtownego — jak pisze Ignar — **przeobrażenia form organizacyjnych prac młodzieży** konieczna jest jeszcze jedna rewizja — jej stosunku do programu i funkcji szkoły powszechnej. I tego trzeba dokonać praktycznie. Wiciarze muszą wrócić do szkoły wiejskiej. Pan wydaje się być zdziwiony. Ja sięgam do uniwersytetu a moi koledzy nauczyciele mają siedem klas szkoły powszechnej. Zapewniam pana, świetny element. Czeka ich kursy. W przeciagu kilku lat będą „kwalifikowanymi” nauczycielami. Nie ulekli się. Awans kulturowy osiąga w działaniu wychowawczo-społecznym. Otoż, Wiciarze winni wrócić nie na ławę szkolną, ale do stolika nauczycielskiego. Znowu pan się dziwi. Nie do państwowej szkoły, to może potem, część z nich. Muszą wrócić do improwizowanej klasy w chłopskiej chałupie, czy w obejściu podworskim. Muszą nam, oficjalnym nauczycielom pomóc. Z nami razem rozegrać bój z analfabetyzmem. Ucząc dzieci i starszych, będą siebie uczyć i reformować. Teraz pan mnie zrzuciał?

Co jest trzonem „Wici”? Wychowawczo-ideowe zadania. Przed wojną Wici były wszystkim. To pogłębiało dyscyplinizm. Nowa rzeczywistość parcieje wszystko, co stanowiło przerosły Wici, a co dawało organizacji żyłne przeświadczenie, że zawiera pełnię życia chłopskiego, i że ono może być wyłączone z szerszych procesów społeczno-gospodarczych. P. R. W. i pion szkół rolniczych anektują dziś wiciowe peery, ZSCh i związki branżowe anektują wiciowe marzenia spółdzielcze. Gimnazja zawodowe i ogólno-kształcące spychają na bok tradycyjne Uniwersytety Ludowe — otwiera się droga dla techników, inżynierów, lekarzy, których „magia” nie będzie wytwarzała narkotyków dla zrozpaczonej wyobraźni młodzieży, ale ulepszała rzeczywistość warunków egzystencji i pracy na wsi.

Czy Związek Samopomocy Chłopskiej, Ministerstwa — Rolnictwa, Oświaty i Przemysłu miały stać się sekcjami składowymi Wici? Byłoby to absurd. Stało się jasne, że Wiciarze na Wiciach poprzestać nie mogą. Ze Wici winny naładowywać młodzież taką ideologią, która pozwoli jej rozbiec się na jak najszerzy front prac, funkcji i instytucji. I na tym polega funkcja społeczna tej organizacji. Dlatego, moim zdaniem, skurczyły się zakresy jej prac, ale w tej jednej, podstawowej roli wychowawczo-ideowej rozszerzył się zakres treści. Rozszerzył, bo trzeba młodzież mobilizować do spółdzielczości, do PRW, do specjalizacji zawodowych. Kiedy ona pójdzie, tamte instytucje i szkoły pogłębia ją fachowo, czego Wici nie mogłyby nigdy osiągnąć. Wracam do mojej myśli. Ci, co z Wici czynią trwałe istniejącą organizację, to oświatowcy i wychowawcy. I niechże mi pan odpowie,

czy nie jest wobec tego konieczne ich spotkanie ze szkołą? Tu musi się dokonać **konfrontacja wiedzy i ideologii nowej szkoły i „starych” wiciarzy**. Przed wojną od filozofii ludomanów przez Uniwersytety Ludowe i Wici szła droga do „chłopskiej szkoły”. Był wtedy inny ustrój, inna rzeczywistość polityczno-gospodarcza.

Czy dziś od nowej szkoły, czy od „chłopskiej szkoły” ma iść nadanie wychowawczo-ideowe w górę? Wici i w tym — najbliższym sobie punkcie — muszą dokonać ostatecznej rewizji.

„CHŁOPSKA SZKOŁA”

Stefanie, otwórzmy IV tom „Młodego Pokolenia Chłopów”. Rok 1937. Wyście już w „Chłopskim życiu gospodarczym” dwa lata wcześniej sygnalizowali, że wieś dosięga dna katastrofy społecznej i gospodarczej, katastrofy, której pierwsze wstrząsy dał odczuć wsi kapitalizm już w XIX w.

Wyście pisali o 8 milionach „ukrytych” bezrobotnych na wsi, o powszechnym hipotecz nym wyzuciu z ziemi chłopów. Dno katastrofy!

Równolegle odsłaniała się katastrofa oświatowa. „Przyszl obywatele państwa hodują się na pastwiskach, a jest ich milion... rośnie milion dzieci bez szkoły”. Reforma Jędrzejewiczowska obrywa dwuklasówce w 75 procentach, trzylasówce w 50 procentach, a czteroklasówce w 50 procentach — oddział siódmy! Od r. 1932 do 35 liczba jednoklasówek (na ogólną liczbę szkół) powiększa się z 40% na 50%. W ostatnich latach II-giej Rzplitej na uniwersytetach młodzież chłopska spada z 4 do 1%.

Wyraża się w tym procesie prosta zależność od gospodarczo-społecznego dramatu wsi, ale też i coś więcej. Świadome odciepienie wsi od wyższych szkół, świadome przyciemnienie „kaganka” oświaty powszechnej. Bo ci, co znaleźli się na dnie katastrofy, nie powinni sobie z tego zdawać sprawy. Jeśli będą wiedzieć — wąż się na wszystko. Bunt, rewolucja — to ich nieunikniona, wściekła, ostateczna reakcja.

Stefanie, w r. 1936 wygłasza prof. Wł. Grabski na naradzie w sprawie kultury wsi referat pt. „Wies jako siła społeczna”. (Na naradzie dojrzał projekt utworzenia Instytutu Kultury Wsi; Prof. Grabski został Prezesem Rady Naukowej Państwowego I. K. W.).

Cóż mówił Prof. Grabski? „Ambicją młodych, nawet tych, co najbardziej wybujał, nie jest tworzenie nowego życia na wsi poprzez zburzenie istniejących stosunków realnych, a odwrotnie — ambicją ich jest dokonać w granicach rzeczywistości wsiowej coś nowego, lepszego własnymi siłami, własną pracą rzeczową, własnym pomysłem i wysiłkiem... bez negacji samych podstaw życia wsi... nie czekając cudów i zbawienia z zewnątrz”.

„Stosunki realne”, „rzeczywistość wsiowa”, „podstawy życia wsi” — wyrażały dno katastrofy chłopskiej w kapitalizmie. A prof. Grabski zalecał właśnie oprzeć się na nim. Nie próbować negacji i zburzenia istniejących stosunków realnych. I nie oczekiwać „zbawienia z zewnątrz”. Na dnie — „własnymi siłami”, „własnym pomysłem”. Prof. Grabski dawał wyrafinowaną lekcję o konieczności przywiązania się do dna.

„Nie uwierzać w wieś ani dostojnicy państwowi, ani szerokie sfery inteligencji, jeżeli nie uwierzy w wieś samą ludność wiejską”. W wieś skrajnej nędzy, zacofania technicznego, w wieś bezsilną politycznie i odcętą od oświaty. Prof. Grabski nie miał nic przeciw klasowości „która wypływa z silnego, może nawet egzaltowanego poczucia odrębności układu życia wiejskiego, poczucia własnej godności i siły”. Krótko mówiąc, nie miał nic przeciwko stanowemu izolowaniu się i zamykaniu w sobie warstwy chłopskiej. Ten proces obserwując i do niego zachęcając mógł powiedzieć imieniem rządu „Spośród różnych grup społecznych nie ma w całym społeczeństwie takiej, która by lepiej harmonizowała z dobrem państwa i narodu, jak grupa wiejska”. Straszne! Ale to dopiero prolog.

Stefanie, posłuchajmy teraz głosów młodzieży chłopskiej. Przypominam — r. 1937, „Reforma szkolna z 1932 r. boleśnie dotknęła wieś” pisał jeden z nich. Musiała. Była co prawda przysłowiową kropką nadmiaru, dzięki której uświadomił się młodzieży cały ogrom klęski pokolenia. Prof. Myslakowski,

Spółdzielczość dla kultury i sztuki...

Na Kongresie Spółdzielczym, jaki odbył się w tych dniach, został uchwalony wniosek delegata Spółdzielni ZSCh z Włoszczywy, posła Mariana Kubickiego (redaktora „Myśli Chłopskiej”) następującej treści:

II-gi Walny Zjazd Delegatów Związku Gospodarczego Spółdzielni R.P. „Społem” zatwierdzając podział nadwyżek, w poczuciu potrzeby zwiększenia wysiłku całego narodu nad podniesieniem poziomu kultury i sztuki jako głównego instrumentu w odbudowie człowieka w Polsce, przekazuje z funduszu a) (zasoby) końcową sumę 6 mil. 971 tys. 787 zł i 90 gr na nagrody literackie, plastyczne, muzyczne i naukowe.

Walny Zjazd delegatów zaleca w przyszłych latach gospodarczych przyznawanie analogicznych sum na te cele, dla stworzenia stałego mecenatu społecznego.

Celem podziału i przyznania nagród Walny Zjazd poleca Radzie Nadzorczej opracowanie odpowiednich statutów nagród w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz ze związkami artystycznymi jak Związek Literatów, Plastyków, Muzyków, Akademia Umiejętności lub innymi towarzystwami naukowymi.

mówiąc o rozwoju osobowości, wskazuje na jego trzy fazy — dzieciństwo jako okres wstąpienia w grupę „swoich” (rodziną), w drugiej fazie — inni, „obcy” i uregulowanie stosunku do nich, w trzeciej i ostatniej — wstąpienie w świat coraz szerszych wytworów oraz grup społecznych”. W razie nieudania się regulacji na jakimkolwiek stopniu, dalsze wstąpienie w rzeczywistość społeczną ulega zahamowaniu. Oznacza to zawsze klęskę... Innej drogi przed jednostką w ogóle nie ma. Wszystko inne jest albo otwartą klęską, albo maskowaniem jej przy pomocy rozmaitych fikcji”. Młode pokolenie chłopie nie weszło przed wojną w naród ani na drodze awansu społecznego ani kulturalnego. To była straszna klęska.

I z perspektywy tej klęski trzeba widzieć jego cofanie się do wewnątrz warstwy chłopiejskiej jako wtórny skutek zahamowania dążenia tej młodzieży do unarodowienia się.

Zaczyna się maskowanie klęski. To znaczy utrwalanie jej! Stefanie, przysłuchaj się tej litanii złorzeczeń na szkołę. Niech Cię tylko nie uwiodą żądania pełnej 7 klasówki na każdej wsi. Nie było jej i nie ma być. Krytyka tych młodych wypełnia się programem, który wyrzucił sens i 7-mio oddziałowej szkoły.

Dno ekonomicznej i społecznej katastrofy wsi daje o sobie znać; jak wyżyć na dnie? Z tego pytania rodzą się pomysły zreformowania szkoły. Te pomysły a priori akceptują sytuację dna. Więc będziesz miał w pierwszym rzędzie fałs recept, przystosowywanych szkołę do gospodarstwa rolnego. Gospodarstwa nędznego, nie technizowanego, osamotnionego, z nadmiarem rak wieloosobowej rodziny. Czego szkoła ma uczyć? Uprawy roślin, od kwiatów do ziół leczniczych, (na sprzedaż) ogrodnictwa, warzywnictwa (lepsze odzwyczajanie — „ozdoba chaty rolniczej”) botaniki rolniczej, wyrobu drobnych sprzętów gospodarskich, sporządzania „nakazów piatniczych” czy innych pism urzędowych.

W tej najbogatszej grupie uderza, iż równolegle reformatorzy żądają obszerniejszej nauki religii, posiadania książki do nabożeństwa, umiejętności pacierzy, godzinek, pieśni nabożnych, „skreślenia z programu x i y, bo to nic w gospodarstwie nie daje”, poco wiedzieć „jak Neron męczył swych podwładnych, lepiej niech będzie lekcja rachunków (dla buchalterów domowej) przyroda, uprawa roślin i pól”.

Szkoła projektowana odcina się od wyższej wiedzy. Wartość hierarchicznie rosnących stopni tego samego pionu zostaje podana w wątpliwość i odrzucona (historia, matematyka, a nawet rolnictwo). Następuje zbliżenie pomiędzy tym ciasnym praktycyzmem a magią i religijną tradycją życia rodzinnego i gromadzkiego.

Trzeba się dobrze przyjrzeć tej tragicznej szarpaninie o nieuchronnym wyniku klęski. Oczywiście — nie wycinanki! Ale czy nauka „prawidłowego dojenia krów”? Oczywiście, że spółdzielczość ważna, ale czy ofiarą jej ma paść historia? Oczywiście, że nie szlachecka, zafałszowana historia, ale czy na to miejsce tylko „historia chłopów”, uczenie się „swej historii”? „Świat teraz podzielony na dwie części, na krew błękitną i ciemną”. W tej skali miałyby się znaleźć „swoja historia”? Czyżby to nie była inaczej ale znów fałszywa historia i ubezradniająca właśnie chłopów? Błękitna krew zdążyła się od 100 lat zaróżwić burżuazją, nie tyle przez związki małżeńskie, co przez wspólną pozycję posiadających i władających w strukturze rozwijającego się kapitalizmu. Brak tej świadomości u młodzieży jest zastraszający. Odcięto ją od narodu, od praw, dobrobytu i wiedzy. Skolei ona buduje „wiedzę dla wsi a nie na wynos”, tzn. wiedzę, której brak narzędzi i metod do poznania i zrozumienia świata poza krzyżem na rozstaju. Nazywa się to wiedzą „do życia bardziej chłopom odpowiednią”.

Władysław Grabski chciał „poczucia odrębności układu życia wsi”. Projekty młodych tę odrębność warstwy wypracowywały. A warstwą społeczną — jak pisał prof. Rychliński — „jest wytworem konserwatywnym społecznego, który w jaskrawej postaci występuje w stanach tj. warstwach ukonstytuowanych przez przywilej prawny, oraz w kastach, w których mit religijno-etniczny waruje odrębność i nie naruszalność hierarchiczną”. Tym razem utrwalali się konserwatywnym warstwą, skazanej ogólnie na pozostanie warstwą. Jędrzejewicz co oberwali szkole powszechnej pułap — 7 oddział, a był on stopniem wiążącym wieś z wyższymi studiami, pomostem do władzy, wiedzy, techniki, kultury. Projekty młodych chłopów jeszcze bardziej obniżyły pułap szkoły powszechnej, czyniąc z niej pół-rolniczą. Wyraziło się w tej reformie świadome odrócenie szkoły od miast, od innych klas, od narodu. Taka szkoła cyrkulowała miała po we wnętrznym unerwieniu, uwięzionym w „organizmie warstwy chłopiejskiej”.

W tej szkole miano w konsekwencji szerzyć zamknięcie do „swej odrębnej kultury ludowej” (śpiew, czytanki historyczne, opisy wsi, tradycje i zwyczaje — nauka przyrody, bezpośrednio z praktyką rolną). Bardzo konsekwentna ideologia „tabaki w rogu”!

Z pozoru rozszerzała ją Kółko Rolnicze K. M. W., Spółdzielczość — do czego szkoła miała również dzieci przygotowywać.

„Słowem nasze szkoły na wsiach winny mieć coś z charakteru uniwersyteckiego”. Ta sama zatem zasada samowystarczalności „wiedzy wiejskiej”, zatabaczała i zamieniała w kramik i kółka zabawowe organizacje, które miały w założeniu wieś podnieść ekonomicznie, nadać jej wyższą organizację społeczno-gospodarczą i ideologię, rozbijając i demaskując ideologię klas panujących.

Koncepcja zamkniętego świata i wyłącznej gospodarki kulturalnej nabiera w wypo-

wiedziach młodego pokolenia chłopów **manialnej obsesji**. Przestrzega się „aby nikt nie odpadł z chłopiejskiej gromady na jakimkolwiek poziomie”. A przez iluż te wyższe poziomy zostały osiągnięte? Od gromady nie odpadało się, bo nie było dostępu nie tylko na wyższe poziomy, ale nawet i zapotrzebowania na rynku robotniczo proletariackim. Tragiczna prawda — to 70% ludności, duszącej się na wsi. A samobójcza fikcja — to złudzenie, że nierozproszenie się tego skłębionego rojowiska będzie wartościowym osiągnięciem społecznym. Ileż, Stefanie, wyczytasz hasel wyrażających koncepcję szkoły, „w której chłop mógłby się uczyć, nie przestając być chłopem”. Roją się pomysły „gimnazjów specjalnie dla wsi”, o programie „całkowicie dopasowanym do społecznego życia wsi i wychowującym człowieka wsi a nie rozparzającym”. Rozparzenie poszedłoby w pany, a „człowiek wsi” zostawał nadal lojalnym niewolnikiem, dobrowolnie podtrzymującym ustrój nierówności klasowych.

Ta obsesja chłopiejskości żłobi ślepe uliczki specyficznej, **warstwowej wiedzy**, u jej końca i szczytu zarazem stoi Uniwersytet Ludowy.

Prof. Chałasiński tak streszcza ocenę U. Ludowych, zawartą w wypowiedziach ankiet (M. P. Ch.).

„Jedną z dróg wyjścia z tego rozpaczliwego stanu (gospodarczo-społecznego) widzi młodzież we **wzmoczeniu oświaty przede wszystkim**. Oświata bowiem to główny oręż w walce o demokrację gospodarczą, polityczną i o nową kulturę. Dlatego młodzież postanowiła **wydrzeć uprzywilejowanym dostęp do władzy** i tworzyć własnym wysiłkiem ośrodek wiedzy — uniwersytety ludowe”.

Niestety, ślepe uliczki! Na poziomie U. L. **wzmoczenia oświaty**. Dostateczna, by **wydrzeć uprzywilejowanym wstępie**. Tak trafna i głęboka w analizie historyczno-społecznej, politycznej i gospodarczej?

Stefanie! Ty wiesz, co U. L. wytworzyło. Była to **resztówka** wiedzy pańskiej, jaką można osiągnąć na wsi, **zamienionej celowo zewnątrz w stan chłopiejski, a od wewnątrz utrwalającej stanowiącej**.

Ten kto jechał na U. L.-wy nazywał siebie „dzieckiem upośledzonej wsi”. Myślałbyś, że przybędzie do szlabu rewolucyjnego, gdzie go nauczą, jak się **wydziera uprzywilejowanym władze**, że mu wyznaczają zadanie w przygotowaniu przewrotu. Że posłyszysz oceny **jednoznaczne**, uświadamiające **klasowo i rewolucyjnie**, tak jak u was się pisało w 1936 r.: „Współpraca z innymi ugrupowaniami jest potrzebna i konieczna, lecz z takimi, które odpowiadają nam ideowo i dążą do podobnych zmian, do zniesienia wyzysku, do **zmiany ustroju**, lecz nigdy prawicowe, konserwatywne, choćby również demokrację na swych szatach wypisywały, Bogiem i katolickością się zaskaniały”.

Albo — „Wiele jest po wsiach sklepików, które ledwo dyszą, mimo to są one podpora **dzisiejszego ustroju kapitalistycznego**, są tą najdalszą maską, którą fabrykant i wielki kupiec dociera do kieszonki chłopów”.

Albo — „cała robota endeków, to obrona **dzisiejszego ustroju kapitalistycznego**”.

Tymczasem wyznacza wychowanków U. L. brzmiało zgola inaczej. „U. L. wzmocnił mój charakter, uszlachetnił i **pokrzepił duszę**, odrzucił mnie, odnalazłem **siebie samego**”.

„Otworzył oczy do szerszego patrzenia na świat i życie ludzkie, tam poznałem **czym jest człowiek, czym jestem ja**”.

„Nabrałem wiary w życie, bo tam poznałem dopiero jego cel daleki, który się nie kończy z pojedynczym życiem człowieka, lecz jest ciągłym dążeniem do doskonałości Bożej”.

Ta metafizyka miała być **wzmocnieniem oświaty**, bronią do **wydarca uprzywilejowanym władzy**? Pokrzepiała duszę, dawała wia-

re w życie, tzn. **optymistycznie asymilowała** z „istniejącymi stosunkami realnymi”, jak mówił prof. Grabski, ale za cenę przesunięcia punktu ciężkości z odpowiedzialności wobec siebie, jako członka klasy walczącej, na odpowiedzialność wobec siebie, jako osoby moralnej. W kategoriach prof. Mysłakowskiego, znaczyłoby to: zahamowany przez kapitalizm proces włączania chłopów w szerszą grupę społeczną — naród i narodowo-swiatową strukturę cywilizacyjno-kulturową, doprowadził do cofnięcia się młodzieży na pozycję stonkowaną z swoimi. Oczywiście, u dna katastrofy próba walki o uniedostępnione pozycje mogła się odbywać tylko na drodze rozwoju świadomości **klasowej**, a nie **stanowo-warstwowej**; świadomość klasowa otwierała perspektywy powiązań z innymi środowiskami — z klasą robotniczą, z inteligencją radykalną, ze światowymi ruchami i prądami postępu. Tylko świadomość klasowa mogła dać naprawę wiedzy szerszą, awansującą kulturowo młodzieży, wiedzę o rzeczywistości historyczno-społecznej kraju, świata i właściwie określić położenie wsi.

Tego Uniwersytety Ludowe nie dokonały i nie mogły, skoro stanowiły ogniwo, zamknięte, warstwowej wiedzy. Cofnięcie się na pozycję „swoich” dało w formie kompensacji „nieosiągniętego”, **wzmocnienie moralistyczne** **nie odpowiedzialności jednostkowej** wobec chłopów (polepszony charakter, uszlachetnienie, zgłębienie istoty człowieka, religijno-patrialistyczna dyrektywa postępowania sąsiedzkiego).

Został w ten sposób ożywiony solidaryzm z warstwą, aż do nadania jej stanowych form egzystencji, wykluczony tym samym motor dynamiki przeobrażeń społecznych — **klasowość**.

Dlatego wychowankowie UL-wych słusznie piszą (M. P. Ch.), że właśnie dzięki tym uczelniom „młodzież przestaje żyć złudzeniami... że wystarczy mieć chociażby cząstkę władzy w rękach, aby pomyśleć o rozwiązaniu trapiących ludzi dolegliwości”. Opowiada się przeciw **politycznemu** określaniu rzeczywistości społecznej i politycznej drodze przemian. Przeto mając do wyboru z jednej strony nawoływanie do organizowania się, celem podniesienia dobrobytu **uciążliwą i długą pracą kulturalno-oświatową**, z drugiej przez obiecanie bezpośredniego korzystania z **dóbr przedniego wydzierania** się na **wyższy poziom społeczny** — rzecz zrozumiała, że wieś chętnie się garnie do tej drugiej propozycji i myśli. Przed tą drugą myślą wychowankowie Uniwersytetów Ludowych, organizatorzy warstwy i stanu chłopiejskiego — konsekwentnie ostrzegają!

WICJARZE!

Stefanie! Miał rację młody nauczyciel. „Każdorazowe granice i formy rozwoju jednostki — jak mówił prof. Mysłakowski — są wyznaczone przez obiektywne czynniki, stanowiące sytuację historyczną danego pokolenia, wśród danej społeczności, w danym kręgu cywilizacyjnym”. Granice ustroju przedwzrostkowego nie tylko spychały wieś do pozycji stanu, ale wyznaczały naturalny od wewnątrz rozwój stanowiący na wsi. Było to klęską pokolenia, przez nie nadomiar utrwaloną. Nowy ustrój otwiera młodzieży dostęp do trzeciego etapu rozwoju osobowości: do narodowych i światowych wytworów kultury oraz do całego narodu i społeczeństwa kroczących po drodze postępu. Nowy ustrój daje zatem młodzieży szanse **poszerzenia osobowości**. Dawny personalizm moralistyczny był nie osiągnięciem a **niedorozwojem osobowości**, wyłączonej z życia narodu, i z dynamiki rozwojowej klas walczących o lepszy porządek w kraju i świecie.

Fakty jakie wokół nas zachodzą, są dwójakiego rodzaju. Jedne ukazują wciąż jeszcze owo **dno chłopiejskiej i robotniczej katastrofy** sprzed wojny i lata całe będziemy sygnalizować relikwenty tego dna, drugi gatunek faktów mówi o gwarancjach struktury ustroju,

gwarancjach jakie daje ona dla wyjścia z dna nędzy i upośledzenia społecznego masom ludowym.

Zmienili się i przesunęły „granice rzeczywistości wsiowej”. Kiedy o nich mówił prof. Grabski w 1936 r., granice te były ściśnięte obiegami krajowego kapitalizmu obszarowego i przemysłowego i wysuwane jako granice półkolonii (wraz z całą Polską) na mapie obszarów posiadania ekonomicznego i politycznego kapitalizmu pan-swiatowego. Te okowy zostały złuszczone. Masy ludowe stwierdzają jedność społeczną narodu, bo widzą ją teraz w bezklasowej jednostce świata ludzkiej pracy. Ten cel, założony przez ustrój, stoi przed nami do wykonania. I już się staje, już się coraz wyraźniej zarysowuje.

Sięgają do wsi wspólne dla całego narodu pionowy. Nie mierzmy praktycyzm rolniczy, skazany na wieczną samowystarczalność, ale od PRW, przez szkoły rolnicze (reformowane — szkoły agrotechników wiejskich, gminnych itd.) do liceów akademii rolniczych, uniwersyteckiej chemii, biologii i politechniki. Nie sklepiki spółdzielcze i spółki zarobkowe, ów „marginesowy kapitalizm dla mas” — ale jednolita spółdzielczość — składowy czynnik ustroju gospodarczego i społecznego ludowego państwa. Nie „chłopska szkoła” stanowiąca, ucząca żyć „do życia chłopom bardziej odpowiednią”, ale szkoła — fundament jednorodnej kultury i samowiedzy narodowej. Nowa szkoła staje się nadto jakby reflektorem, ukazującym całą rzeczywistość polską w pełnym świetle. Lampa magiczna zapowiadająca dziecku świat przyszłych jego podróży intelektualnych, estetycznych i pracowniczych, świat przyszłego awansu społecznego i kulturalnego. Bo cała nowa rzeczywistość polska należy dziś do wszystkich. Należy przez troskę i radość, przez współudział w jej budowaniu.

Są dwa powody, dla których pomysł młodego nauczyciela winien stać się **zadaniem dla całego Związku MW „Wici”**.

1) Trwa jeszcze analfabetyzm na wsi, dziedzictwo przeszłych stosunków społeczno-ustrojowych. Bo skoro droga awansu społecznego przez wiedzę była dla mas niedostępna prawie, a z reguły bardzo utrudniona, to i najniższe jej stopnie nie mogły być w cenie. Nigdy wartości bez perspektyw nie są wartościami! Ten dobrowolny w niemym stopniu regres wsi od oświaty był świadectwem jej beznadziejnego losu. Jeszcze raz potwierdza odcienie wsi od narodu, niewiarę w naród i państwo, w nowe jego możliwości. Analfabetyzm musi więc zginąć. Jego trwanie bowiem oznacza życie setek tysięcy poza narodem, co gorsza, poza nową, ludową Polską. Polska ludu, to Polska, w której lud dowiaduje się o szansaach lepszego „utra, dalszych, bliższych, pośrednich i bezpośrednich i skoro wie, działa i stwarza je sam dla siebie. Kto może być nauczycielem w tym pierwszym okresie podnoszenia się z ruin ciemnoty? Każdy, kto może wstrząsnąć choćby kilku ogniwami w łańcuchu mas, w których przez dziesiątki lat wytłono nadzieję lepszego jutra dla siebie i dzieci.

Nieprawda, że brak szkół, bo te, które dziedziczyliśmy z przeszłości, określały tylko intensywność kształcenia sił społecznych, jakie Polska władza. Nową Polską władają siły ludowe. Nasza intensywność musi więc pozostawić szkolne i zawodowych nauczycieli. Ten zawodowy pion wychowania wymaga ogólnego dorobku pedagogicznego i gospodarczego kraju. I będzie w tych proporcjach wzrastał. Ale nowe siły społeczne są potencjonalnie bogatsze i „już mogą i winny owoćować, poszerzając szkołę o nowe, formy i porządek”.

2) Koła Wiciowe powstały w procesie degradacji społecznej i ekonomicznej chłopstwa w postępującym kapitalizmie. Wraz z biędnieniem chłopów i rozdrobnieniem gospodarstw malała tradycyjny awans na gospodarza, zwiększał się krąg trwałej kawalerki. Pisałem już o tym, że część młodzieży szuka wówczas wyrównania dla tej degradacji w „samoswoim” awansie kulturalnym. Role te spełniły Koła, „Krzepiły ducha”, uszlachetniały, upewniały, że się jest człowiekiem, podtrzymywały poczucie osobistej wartości — ale z tej dobroczynnej narkozy korzystali przede wszystkim członkowie Koła. Koło było w społeczności wiejskiej wyspą, elitą, swoistym salonikiem. Powstawało pod wpływem sił wyłączeniowych z otoczenia, a nie na skutek jego zapotrzebowania. W trzeźwej ocenie bardziej praktycznej części wsi — uchodziło za pewnego typu spółkę, acz „dziwnego nabożeństwa”.

Walka z analfabetyzmem będzie dla Koła egzaminem. Dobrze wykonane zadanie dowiedzie, że wiciarze uwolnili się od przedwojennego mitu „szkoły chłopiejskiej i stanowej izolacji. Przy tych bowiem mitach poza Koło na robotę społeczną wyjść by nie potrafili. Będzie to egzamin praktyczny dla pedagogiki personalistycznej i społecznej. Co zwycięży, czy stare obciążenia — „potęgowanie życia wewnętrznego jednostki”, „rozwijanie duszy”, „osobowości moralnej” (na to wystarczyło Koło jako spółka, czy salonik), czy też Koła okażą się „narzędziem wychowania i równocześnie realną siłą społeczną w przebudowie narodu”? Sukcesy w walce z analfabetyzmem rozstrzygną wątpliwości. Związek liczy 500.000 członków, zakładając, że w Kole przeciętnie jest 40 osób i że w akcji weźmie udział 5 członków znaczy to, że na front walki Związek może wysłać armię 50—60 tysięcy Wiciarzy. A że będą oni mieli wykształcenie od 5 do 7 oddziałów, to ani nas ani ich nie przeraża.

Pomaga im Kuratoria, instrukcje i **nowe podręczniki**. Stefanie! Zwolnij konferencje!

Ignacy Mizerkordia

Jan Aleksander Król

KULTURA I KALENDARZE

T. — „No tak! Twoje pismo jest niewątpliwie... pożyteczne, nawet powiem: w swoim rodzaju dobre, ale... Otóż to ale... Jakby to powiedzieć?... Byłoby — przynajmniej przecie — lepiej, gdyby było całkowicie samowystarczalne, gdyby nie potrzebowało zupełnie subwencji. Zdasz sobie chyba sprawę, że jest to argument o charakterze społecznym...”

K. — Rozumiem twą troskę i zakłopotanie. Chcesz w ten sposób ukryć właściwą ocenę. W istocie pragniesz mi dać do zrozumienia, że pismo jest złe, skoro nie znajduje dostatecznej liczby nabywców, że z nimi się nie liczy. Stąd to twój niby społeczny argument. Mogę nawet podziwiać cię, że tym razem użyjesz wobec mnie również argumentu, że ilość stanowi o jakości. Ta marksistowska formuła byłaby doskonała w twoich ustach, w ustach katolika...

T. — Oczywiście, skoro tak sprawę stawiasz, ilość kupujących świadczy o wartości pisma.

K. — Ubawiłeś mnie tym serdecznie. Więc dla ciebie powodzenie bezspornie świadczy o wartości osławionego Rycerza Niepokalanego? Jako katolik jesteś ogromnie niewymagający w stosunku do swoich współwyznawców. Co zaś do subwencji, które bodajże stanowią sedno podjętej przez ciebie sprawy — to muszę zwrócić uwagę, że ujmujesz sprawę zakupu pisma, bo o to właściwie chodzi, w kategoriach liberalnych. Nie dostrzegasz — i wcale się temu u Ciebie nie dziwię — że obecnie zakup ten odbywa się nie indywidualnie, ale zbiorowo, przez instytucję. A jeśli gorszy ciebie — liberała — ten centralny sposób zakupu —

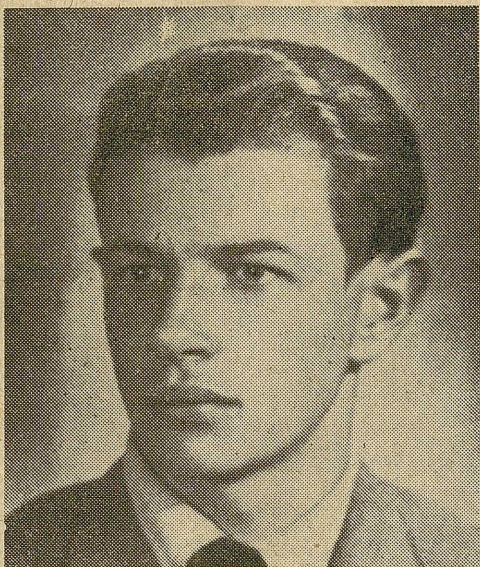
to przypominę, że nie jest to tylko nieco odmienna forma mecenatu, który z rąk prywatnych przeszedł na państwo. Tak przezwycięża się i przezwyciężać bierność i — powiedzmy niedwuznacznie — głupotę społeczeństwa.

T. — Tu zagalopowałeś się, mój drogi! Ciekaw jestem, gdzie to w naszej przeszłości znajdziesz podobne przykłady przezwyciężania — jak powiedziałas — bierności i głupoty społeczeństwa przez państwo. Powtarzam: przez państwo. Mam nadzieję, że nie sięgniesz po wzory do sanacyjnych czasów? Byłoby to rozbrajające! A nie przypuszczam znów, byś w dziejach naszych przed utratą Niepodległości znalazł coś podobnego.

K. — Spodziewałem się, że znasz tylko złe tradycje naszego państwa. Tradycje sobiepaństwa są ci najbliższe. Otóż, by rozproszyć twe historyczne wątpliwości, powołam się na jeden z faktów dający się łatwo sprawdzić. Tadeusz Korzon w charakterystyce źródeł do swych **Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta** (1764—1794) t. I Kraków — Warszawa 1897 wyd. 2, omawiając **Dziennik Handlowy**, ukazujący się w 1786—1794, pismo na naszym gruncie nowatorskie i o sporym znaczeniu, wyraźnie wskazuje, w jakiej to mierze był i rozwój tego „szczerze postępowego i reformatorskiego” organu zależny był od zakupu dokonywanego: przez króla dla miast, (najpierw 30, potem 36 egzemplarzy) i przez Komisję Edukacyjną dla szkół (75 egzemplarzy). Jest to prawie jedna trzecia nakładu. Głupi gmin szlachecki i magnaci nie chcieli pisma kupować... Kupowano jezuickie kalendarze.

Marian Narcyz Listowski

W I E R S Z E



Marian Listowski urodził się we wsi Widniówka w powiecie krasnostawskim w roku 1926. Ojciec był chłopem, matka nauczycielką ludową w tej wsi. Młody poeta własnym wysiłkiem zdobył maturę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Chełmie. Tam też objął posadę nauczyciela w Państwowej Szkole Powszechnej dla Dorosłych. Wyższe studia są dlań na razie niedostępne.

KRAJOBRAZ

Jest sens istnienia wieków — wielkich i małych rzeczy. Brata zabiłeś człowieku — o cały był mniej bezpieczny. Wolno po wiejskiej drodze światło do chaty płynie.

Wy nie tak srodze odczuliście brak żarówki nad książką czytana wieczorem, kolego z miasta.

A rano — sens był jednaki: strzału — wstającej bladej chmury, proporcji światła i cienia, krzyku duszonej kury, ryku gonionej krowy z dymem na horyzoncie.

I czasem rodził się człowiek — człowiek też czasem umierał. Pracą sen zganiał z powiek, zemstą do brata strzelał.

Z lasu zwierza i ludzi ploszył fałszywy dymek, kiedy na wsi stawiano nowy szkolny budynek.

Smutna jest jednorodność rzeczy dużych i małych. Krzyk na sali sejmowej — omszałość dżdżkowej strzechy. Przecież i cień się dłuży kołatających sprych repatrianckiego wozu. Chłopski to sens, sprawiedliwy, powojennego losu.

PEJZAŻ NOCNY

Tu ule dzieci chłopskich wśród sadów przetwarzają historię. Pod mostem sierp złoty kosi! bławaty gwiazd w nieboskłonie Tasiemki są białobrukiem szos w cztery strony świata

Miasteczko rodzinne, ulata wysokim brzegiem wież w ulgę A magistrackie zegary owoce rwa kasztanewcom, — myśli siecią trzepocą ryb srebrnych herb prastary. Już byłbym zapomniiał prawie, syn chłopca urodzony w miasteczku, że nie wypada jak dziecku sny kosić mi — w Krasnymstawie.

CHEŁM MOJEJ MATKI

Urodzona przy ulicy Czarnej córka Szadeńskiego dróżnika — moja matka. Straciła zdrowie w klasach okrytych szronem. Tu trumnę jej nieśli uczniowie przybyli z odległej strony, przecież i cień jej uśmiechu w pamięci miastem zanika.

Z kilkudziesięciu na targowisku zagipsowanych ust nie wybiegł wolny krzyk rozstrzału. Pod lasem z ciał stu tysięcy jeńców — Sowietów wyrasta krzak podbiału.

Miasto białe-czerwonej Kameny — sen chmurny wieży się nad wzgórzem najwyższym mauzoleum. Syn chłopca nie wysferzy się w pedagogicznym liceum — składa drobne przesady w zapomnienia urny.

Starych kamienie, młodych myśli — rzeczy drobnych mnóstwo jest brukiem spadłych ulic z rana. Kołyska poetów — taki niepodobny do innych gród — stuletnia panorama.

Jerzy Falenciak

INDIE NA SERIO

Nie jest rzeczą przypadku, że wszyscy niemal nowocześni autorzy hinduscy mitologizują swój naród według zupełnie europejskiego kryterium podziału kultury świata na „wschodnią” i „zachodnią”. Czyni to także wielki Rabindranath Tagore, widzący społeczne sprawy i ludzkie biedy przez okno zacisznego gabinetu. Dla niego bowiem, i jego kolegów po piórze, każdy Hindus bogaty czy biedny, pyszny czy upakarzany, to zawsze nieodrodny syn tajemniczych Indyj, zapatrzonny we wnętrze swej hinduskiej duszy, obcy wydarzeniom zewnętrznego, historycznego świata.

Trudno tu dyskutować słuszność czy niesłuszność poglądów, obstaających za podzielną kulturą Wschodu i Zachodu. Ważne jest natomiast, że pierwszy bodaj głos godzący w ten tradycyjny i wiekowy podział należy do radzieckiego pisarza Ilji Erenburga.

Erenburg wyrażał się, że kultura jest niepodzielna, bo nie da się podzielić na strefy i „rozcinać jak placek na kawalki”. Zadaniem historyków będzie więc wyjaśnienie genezy tego rzekomego podziału, o ile ona jest następstwem faktów dziejowych, a o ile mistyfikacją świeckich i kościelnych polityków Zachodu od czasów najwcześniejszego średniowiecza, przejmowaną następnie w mniej lub więcej dobrej wierze przez „pracowników i propagatorów kultury”.

Prawdopodobnie Rabindranath Tagore, właśnie ze względu na swoistość i orientację jego dzieła, jest popularniejszy w Europie niż w Indiach. Jego myśli stanowią towar tak samo wyłącznie eksportowy, jak większość irydyjskich osobliwości, poszukiwanych przez konsumentów Zachodu. I stąd także płynnie szacunek białoskórych i białorekich czytelników Europy i Ameryki do tego pisarza, który obdarzając ludzką miśnię filozofią Indyj nie tknął nawet społecznej problematyki, nurtującej mniej szczerliwą, a olbrzymią część jego narodu od tysięcy lat.

Gdyby Rabindranath Tagore nie był metafizykiem, lecz społecznikiem, wówczas byłoby o nim głucho w „kulturalnej” Europie. A tak wszedł — używając popularnego i banalnego określenia — na wyżyny ogólnoludzkiej myśli.

Pisarze społecznicy różnią się tym od metafizyków, że gdziekolwiek by nie działali, i kiedykolwiek, nie nowego nie znajdują pod słońcem oprócz ludzkiej biedy, która zawsze i wszędzie jest identyczna i którą zawsze zwalczać trzeba. Ta identyczność skłania wielu do eliminowania myśli ekonomiczno-społecznej, jako objawu kultury „gorszego rzędu”, zwłaszcza gdy pisarz rozpowszechnia tę myśl drogą środków nie naukowych, lecz typowo artystycznych.

Nie znaczy to wcale, że Rabindranath Tagore, znany w Europie i Ameryce, jest zapoznany w swej ojczyźnie. Znają go niewątpliwie i jego rodacy, ale nie z dzieła, lecz z wszechświatowej sławy, zwłaszcza zaś gdy chodzi o hinduskie masy ludowe. Tym na pewno bliższy jest piewca ich uciśnionego człowieczeństwa w feudalnej niewoli panów hinduskich i innych — syn ludu i chłop z urodzenia Prem Czand, któremu daleko do popularności w Europie.

Urodzony w roku 1880 zmarł w 1936. W szeregu dzieł przedstawia duchowy i materialny byt chłopca w kolonialnych Indiach. Krytyk i historyk literatury Ram Czand Czuli umieszcza go w pocście najprzedniejszych przedstawicieli prozy hinduskiej. Jako pisarz nazywał się stale robotnikiem. Jego najważniejsze powieści osnute są na tematach społecznych, właściwych nie tylko środowisku Hindusów, ale też całej ludzkości („Sewasadan”, „Prem-Aszram”, „Przybytek Miłości”). Szczególnie interesujący, chociaż nie stojący na tej samej wysokości sztuki co powieści, jest jego dramat społeczny (nietzscheński) pt. „Walka”.

Akcja „Walki” rozgrywa się w wiejskiej posiadłości dziedzica Sabala Sincha, którego majątkiem zarządza brat jego Kanczan Sinch, agronom i lichwiarz zarazem. Sabal Sinch ma młodą i inteligentną żonę, podzielającą liberalistyczne poglądy swego męża; jej imię brzmi Dżnani. Obydwójce są pięknołuchami i gorącymi zwolennikami zasad głoszonych przez Mahatmę Ghandiego. Dzierżawcą skrawka ziemi w posiadłości Sabala jest chłop Chaldchar, gospodarujący wraz z żoną swą Radzeszwari, młodą i nad wyraz ładną. Złym i ciemnym charakterem dramatu w skali pojęć zwykłego Hindusa, będzie tam asceta Czetan (nie wiadomo czy nie bardziej łazik i złodziej niż asceta), deus ex machina technicznych zawiłości sztuki.

Przypadek chce, że Sabal Sinch spotyka Radzeszwari, żonę Chaldchara, i z miejsca zostaje ogarnięty gwałtowną i namiętną miłością do niej. Aczkolwiek sam liberał i ghandysta, pokonany namiętnością zapomina o swych „demokratycznych” zasadach, przestając się w typowego dla jego stanu dziedzica-dziwkarsza.

W Madchubenie (tak zowie się posiadłość Sabala), zapanował wywołany suszą nieurodzaj. Chaldchar nie może wnieść do dworu raty czynszu dzierżawnego w określonym terminie, a poza tym przychodzi zapadłości długu u szlachetnie urodzonego lichwiarza Kanczana, działającego i wyręczanego przez rachmistrza-famulusa.

Według obowiązującego w Indiach prawa niewypłacalność powoduje areszt dłużnicy. Sabal Sinch nie zajmuje się sprawami majątkowymi zleciwszy to bratu. Ten zaś i jego oficjałści świadomi miłosnej rozterki Sabala po bezskutecznej egzekucji ruchomości, osadzają Chaldchara skwapliwie w więzieniu jako niewypłacalnego dłużnika.

Nic już teraz nie stoi na przeszkodzie żądaniu Sabala oprócz jego żony, która zresztą nie wie o niczym. Uprawdza więc przy pomocy wybiegów pseudoascety i kanalii Czetana biedną Radzeszwari do pobliskiego miasta i tam umieszcza w specjalnie najętym domku. Czetan, czekając tylko na to, wyjawia przed żoną Sabala — Dżnani, jego rozpustę i w ten sposób chce ją pozyskać dla siebie, przyjmując przy tym pozę tak popularnego w Indiach mahatmy-mystyka.

Dżnani orientuje się w lot w tej intrydze. Nawskroś cnotliwa, tak jak Radzeszwari, nie uchodzi od Sabala tylko dlatego, żeby zemścić się na nim za zrujnowanie jej rodzinnego szczęścia. Dziedziczka Dżnani, załamana utratą wiary w ideały odbiera sobie życie. Religiant Czetan dostaje obłędu i topi się w Gangesie. Chłop Chaldchar ucieka z więzienia i wstępuje do bandy rozbójniczej. Żyje nadzieją zemsty na Sabalu i z tego powodu często krąży wokół swego dawnego domu. Pewnego dnia spotyka na gospodarstwie żonę, która powróciła z miasta.

Prem Czand rozwiązuje akcję Sabala Sincha w sposób nierealny, a czyni tak poprostu dlatego, aby wywrzeć umoralniający wpływ na hinduskich dziedziców-zamindarów. Pokazuje im więc, że bogactwo jest przeciwne sprawiedliwości i humanitaryzmowi, ponieważ dziedzic, nawet liberał i ghandysta, nie nie znaczy jako osobowość w niemoralnej i antyhumanitarnej machinie feudalizmu, włączonego w swych szczytach w kapitalistyczną organizację wyzysku. Jedyną ucieczką od tego ma być ekskulacja szlachty poprzez reformę społeczną w wielkich dobrach.

Tak też Sabal Sinch po bujnych przeżyciach rozdał swą ziemię chłopom na własność i wyjeżdża do Kaszmiru jako pątnik.

Rozwiązanie naiwne i nierzeczywiste zarówno na Indie jak i na inne kraje, gdzie istnieje jeszcze wielka własność rolna. Ale trzeba pamiętać, że autor mógł wierzyć w takie załatwienie spraw społeczno-gospodarczych swego kraju, pisząc „Walkę” około 1921 r.

Główny jednak morał „Walki” wyrównywa ten znaczny błąd w ocenie rzeczywistości społecznej. Dobrze byłoby, aby zwrócić nań uwagę także nasi personalisci: Sabal Sinch nie popełniłby nigdy grzechu przeciw swemu sumieniu liberała, gdyby nie był równocześnie dziedzicem-zamindarem, wpieczonym w nieubłagany aparat feudalizmu Indyj i gdyby jego liberalizm na feudalnej podstawie, nie realizował nowoczesnego wyzysku kapitalistycznego.

Nie od rzeczy będzie tu przytoczyć fragment dialogu z „Walki”, który ze wszech miar świadczy o wielkim talencie teatralnym autora, chociaż sama konstrukcja sztuki wiele pod tym względem nastrocza zastrzeżeń.

Przychodzi Chaldchar do rachmistrza dworskiego po pożyczkę.

Rachmistrz: Potrzeba ci więc 200 rupij? Przedtem było 5 proc. za upomnienie a teraz 10.

Chaldchar: Jak pan uważa.

R.: Przedtem za pismo doliczało się 2 proc. teraz 4.

Ch.: Jak wielmożny pan rozkaże.

R.: 5 rupij za blankiet stempłowy.

Ch.: Dobrze.

R.: 2 rupie idą na opłaty pocztowe.

Ch.: Jak pan każe.

R.: Mnie się dolicza za komis 5 rupi, ale tyś biedny człowiek, wezmę 4! Czy wiesz, że ja tu nie otrzymuję żadnej pensji. Moja cała nadzieja tylko w tym komisowym.

Ch.: Pan bardzo liściowy.

R.: 1 rupia nadto na podarunek dla dziedzica.

Ch.: Proszę uprzedzić, niech pan podaruje, nasz dziedzic dla wszystkich dobry.

R.: I 1 rupię dla dziedziczki na betel.

Ch.: Niech pan będzie łaskaw wziąć. Mówi, że ona bardzo liściowa dla biedaków.

R.: Tyś piśmienny?

Ch.: Nie, maharadzo, dla mnie litery to samo co dla krowy.

R.: To w takim razie złóż odcisk wielkiego palca lewej ręki na tym blankiecie stempłowym. (Dobywa pieniądze z kasety). Przelicz.

Ch.: Tak, na pewno, zgadza się.

R.: To wynos się, trzy razy pokłoń się na progu i do domu!

Ch.: (Wychodzi, zatykając pieniądze za opaskę na biodrach). Wchodzi Kanczan Sinch.

R.: I ani pisać!

Kanczan: Kiedy się temu bydlu wpakuje co do łba, to już niczego nie widzi, zasłona im opada na oczy. Aż smutno się robi na duszy, lecz co robić? Ale czy może istnieć człowiek porządny bez pieniędzy?

Mitologom „kultury ludowej” poleca się pod uwagę pracowitego Chaldchara, a mitologom „Wschodu” szanownego Kanczana Sincha.

Tadeusz Papier

REPORTAŻ STOPNICKI

LUD WOLNY... Z FANTAZJĄ

Turysta, któryby chciał na podstawie lektury dokładnie zapoznać się z ziemią, którą obejmują granice powiatu stopnickiego, miałby do pokonania nie małe trudności. Musiałby długo szukać po bibliotekach zanymby dotarł do zapomnianego dziełka traktującego o tej ziemi. Najbogatsze wiadomości dałaby mu ocalone kroniki parafialne. Archiwa około trzydziestu kościołów parafialnych stanowią dziś, wobec zniszczenia lub spalenia akt gminnych w czasie wojny, najbogatsze źródła wiedzy o dawnych ludziach i dawnych czasach.

Częściej można spotkać się z literaturą dotyczącą zakładów zdrojowych w Busku i Solcu. Dr Julian Majkowski w dziełku pt. „Busko”, wydanym w Radomiu w 1905 r. wymienia tych pożytki ponad setkę. Są to przeważnie sprawozdania lekarskie i z badań geologicznych dokonywanych na terenie powiatu, często z dodatkami „krótkiego opisu Buska i jego okolic”.

Z przedwojennych wydawnictw jedynie „Pamiętnik Świętokrzyski” stanowi poważniejszą pozycję. Zarys historii kościołów powiatu stopnickiego ks. Wiśniewskiego („wyd. „Jedność” Kielce) jest zbyt popularnie ujęty aby mógł zadowolić naszego turystę.



Starosta pow. stopnickiego Stanisław Wyka.

Nowe i nieznane w stosunku do wymienionej lektury wrażenie odniesie nasz czytelnik z dzieła Niny Assorodobraj — „Początki klasy robotniczej” („Czytelnik” 1946). Oto przyzwyczaił się widzieć powiat jako jednostkę rolniczą, zapomnianą, zdalą od wielkich szlaków komunikacyjnych, która nie przyciąga do siebie ekip przemysłowców wieściami o ukrytych skarbach mineralnych—siarki, soli, ropy.

A tymczasem w rozdziale — „Najem wolny” — napotyka na opis werbowania robotników i prądzie z Kurozwęk do manufaktury staszowskiej. Stare to dzieje i tradycja nieznana dziś w powiecie. Rok 1777: „organizowanie ośrodka chałupniczego w Kurozwękach także nie napotykało chyba na trudności, skoro prądką z Kurozwęk same zawiadomiły dyrekcję, że potrafią praść cienko, i skoro w ciągu roku liczba przedających z 18 wzrosła do 54”.

Ale nasz turysta, który razem z nami zwiedza powiat, nie zatrzyma się dłużej nad tym zapomnianym epizodem życia powiatu. Uwagę jego pochłonią liczne dwory i kościoły rozsiane po powiecie. Kurozwęki, Szupia, Zborów, Smogorzów, Wójcza, Niziny — Radziwiłł, Popiel, Łaszkie, Linowski — nazwiska, które wyznaczały do 39 r. dzieje powiatu. Około trzydziestu dworów i równie tyle kościołów parafialnych trzymało straż nad duszami chłopów. Tak jednak nie tłumaczyłyby sobie roli dworów nasz turysta, jeśliby zwiedzał powiat przed wojną zaopatrzonego w książeczkę doktora Majkowskiego. Prowadziła ona nawet szczegółowo co godnego jest do obejrzenia w powiecie stopnickim. Dr Majkowski wydał swe dziełko w Radomiu i w 1905, ale z rewolucją nie ono nie ma wspólnego. Albo powiedzmy inaczej, ma o tyle, że rozumienie przez doktora historii i kultury polskiej było kontrrewolucyjne. Wychował się doktor we wpływach lat 90-tych etnografów, regionalistów i naturalistycznych hierarchicznie ułożonych pamiętek szlacheckich i pawło — wiejskich i jeszcze dużo zachowanej natury z orientacyjnymi znakami szczyku oręza polskiego. Dlatego podróżnik otworzywszy przewodnik dr Majkowskiego czytał:

„Okolice Buska zamieszkuje lud rolny, oddzielną posiadający charakterystykę. Są to tak zw. Krakowiacy czyli Krakusy. Lud to uczciwy i pracowity, lecz nie zamożny, odznacza się uprzejmością i fantazją, która się w jego stroju wyraża.

Czerwona czapka rogatywka z pawimi piórkami, wyszywana kierzyna i pas z brzęczącymi kółkami dodaje fantazji młodemu krakusowi — a czerwony lub niebieski gorset, wzorzysta sukienka i pęk jaskrawych wstążek w warkocz wplecionych i powiewnie falujących zdobi krakowską dziewczę...

Celem dalszych wycieczek jest las Mikulowski, o 2 wiorsty odległy las widuchowski i las rządowy przy szosie Pinczowskiej — wiorst 3 — 4 — oraz cała bliższa i dalsza okolica Buska — piękna i malownicza.

Najczęstsze i niemiędzające wycieczki odbywają się: do Skorocin wiorst 4, dla obejrzenia: groty, gór gipsowych i starego grobowca Aryanów, do starożytnej Wiślicy, a jeszcze dalej — wiorst 20 — do Winar nad Wisłą, z pięknym parkiem i widokiem na Wisłę.

Prócz tego godnym jest widzenia: sąsiedni Solc z zakładem wód mineralnych tego samego składu co i Busko — mil. 3, Chrobrz nad Nidą, stolica margrabstwa Pinczowskiego mil 1 1/2 Pinczów, z nader starożytną bóżnicą, mil 2, Nowe — Miasto Korczyn, przy ujściu Nidy do Wisły, ze starożytnymi świątyniami mil 2 1/2, a jeszcze dalej o mil 12 uroczy Ojów, Pieska Skala, Grodzisk i cała przepyszna dolina Prądnika, słusznie Polską Szwajcaryą nazwaną...

Jeśli do tego obrazu dadamy tło tradycji kościuszkowskiej (Sieczków, Pacanów, Konary — miejsca postojów wojsk Naczelnika), która w tych okolicach jest szczególnie żywa (bliskość Krakowa, Racławic, Połanicy) wówczas nie nie mogło popuścić naszemu turysty idealnego obrazu wsi spokojnej, wsi wesołej, co zresztą leżało w intencjach dr Majkowskiego, miłośnika tego tego regionu.

INNE SPOJRZENIE

Oto leżą przed nami dwa dokumenty. Autorem ich jest jeden i ten sam człowiek: starosta powiatu stopnickiego Stanisław Wyka, przedwojenny działacz „Wici”, członek S.L. Pamiętnik sprzed wojny i Plan uprzemysłowienia powiatu stopnickiego, opracowany po wojnie. W jakim stosunku pozostają te dwa dokumenty do siebie?

„Dnia 15.4.1937 roku. Nocowały u nas dwie kobiety, jedna z dzieckiem, obdarłe, po prośbie chodzący. Jakże one nędzne, niosły 25 kg ziemniaków, jak się żaliły, jak płakały, Boże! Bez kuszuli, bez butów...”

„Wieczorem byłem w Staszowie, podeszła do mnie dziewczynka lat 12, biedactwo chude, wprost szkielet. Chce mnie pocałować w rękę — prosi by jej choć dwa grosze dać. Pytam: co będziesz mieć za dwa grosze? Mówi — jeden da dwa, drugi da dwa i stu ludzi po dwa grosze będę mieć kuszulę. Rozpięta sukienkę na piersiach — rzeczywiście była bez kuszuli. Pytam — ojca masz? — Mam, ale zapomniał o mnie, bo sam bez roboty. — Matkę masz? — Mam, matka dobra, ale co gdzie zarobi, a nas jest czworo. I rozplakała się biedactwo...”

„18.4” Dziś zjazd z całej Polski Stronnictwa Ludowego w Racławicach, w Szczucinie zabito most deskami z obu stron, żeby nikt nie przechodził. Dwie „gęby” maszynowe stoją. Nikogo nie puszczają za Wisłę. Tłum chce i będzie chyba kiedyś gadał...”

Stosunek Wyki — wiciowca do ówczesnej rzeczywistości jest rewolucyjny, choć manifestuje się jeszcze tylko prawie w słowie. — Można sobie wyobrazić tego młodego człowieka, którego doświadczenie społeczne popychało do najostrzejszej akcji konspiracyjnej, i którego równocześnie „Wici” i „Młoda Myśl Ludowa” paraliżowały swymi spekulacjami kompromisowymi: stowiańszczyzną, agraryzmem, kulturą ludową, straszakiem komunizmu. Widać Wykę wyraźnie w przedwojennym systemie wiciowym. Oto Pamiętnik, oto wiersz u niego niepoety. To jest ta pierwsza postać buntu, uczuciowa, liryczna. Zbijana z tropu chęć działania rewolucyjnego przemienia się we **wzruszenie**. Mamy w wyniku cikliwego poetę, zamiast tego rewolucjonistę.

Jedni bardzo żyją nędźnie
Smutek nigdy nie chodzą z ich czoła
W życiu i trumnie
Kamień żarnowy sprawiedliwości woła!

Jemu samemu zabito wyjście na świat. Samouk, potem uczeń gimnazjum, nie kończy szkoły z powodu nędzy materialnej. Nie może wykorzystywać nabytych umiejętności, bo pracy dla „takich” nie ma: „dn. 20.4.37. Otrzymałem z Dyr. Polskiego Monopoli Tyt. pismo odmowne — nie ma wolnych miejsc. Czysza rozpacz!”

Oto czego nie dostrzegł w powiecie przedwojenny turysta zaopatrzony w informator dr Majkowskiego. Jest ich niedzary, bezrolnych chłopów, którym zabito deskami mosty na świat, w województwie kieleckim w roku 1921 — 34 proc a w 1931 — 34.9 proc. Rok rocznie umiera im dziesiątki dzieci. Nie kupują cukru ani mydła, bo jak? Chłop na 5 ha wydawał rocznie na cukier 6.85 zł (gdy urzędnik 43.48 zł), a na mydło 3.49 zł. A robotnik leśny zajęty przy kopaniu pińaków zarabiał dziennie w r. 1937 — 1.5 zł (metr żyta kosztował wtedy 25 zł, a metr ziemniaków 5 zł). Jeśli kupił żyta i ziemniaków dla czterobosowej rodziny, co mu zostało na mleko dla dzieci, cukier, sól, buty, ubranie?

Są oni, ci bezrolni i małorolni najczęstszymi gośćmi aresztów gminnych, karani za podatek, nieodrabianie świadczeń rzeczowych, podwód, drobna kradzież, najczęściej leśna, są pod stałą obserwacją policji, bo gdzieś najłatwiej przyjmują się „wywrotowe” idee, jak nie pośród nędzy i biedy. Nie są wybiegni do rad gminnych, nie są sołtysami, wójtami, nie posyłają dzieci do gimnazjów, rzadko do szkół powszechnych nawet.

Przed wojną powiat stopnicki był zaliczany do jednego z najgorszych powiatów. Budziły grozę wśród kół inteligencji wiejskiej nawet „Wici”, niepokoił wzrastający ruch po-

lityczny ludowy, jawny i ukryty, wzrastająca liczba prenumerat „Zielonego Sztandaru”, „Wici”, „Wyzwolenia”. Pisał raport policjant w gminie Szczynki, że Józef Maślanka ze Szczynki namawia chłopów do otwartego buntu przeciwko państwu. Scigani byli: Połtów, Rusiecy, Pierony, Pawliny, Walaskowie, na poczie i gminie konfiskowano nadchodzące gazety.

OBRAZ DZISIEJSZY

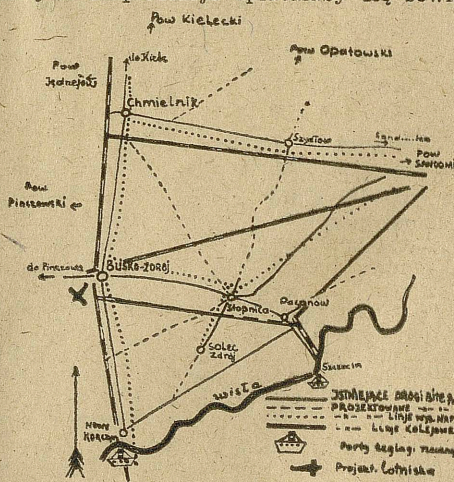
30 dworów zamieniono dziś na szkoły rolnicze i ośrodki Samopomocy Chłopskiej. Ziemia podzielili się bezrolni chłopci. Właściciele albo oddali swą pracę nowemu porządkowi (poseł Krzysztof Radziwiłł), albo nie powrócili z zagranicy. Otwarte wrota poszlachetkich dworów zapraszają dziś do pracy i nauki. W niedzielę nie jeżdżą już brzycki i powozy wierzbowymi drogami do kościoła.

Mimo tych zmian, wynikających z panowania nowego ustroju turysta, zwiedzający dziś powiat stopnicki, nie znajduje różnic w krajobrazie obecnym a dawnym. I teraz kraj obraz to daleki od widoków nowoczesnych osiedli i wsi Zachodu. Brak dobrych dróg (jedynie szosy w powiecie: Kielce — Busko — Nowy Korczyn, Busko — Stopnica — Szczyn, Chmielnik — Szynów i Solc — Stopnica — obramowują granice powiatu), brak kolei żelaznej (powiat znajduje się w środku kwadratu 100 × 100 km pozbawionego dróg żelaznych. Jedyna kolejka wąskotorowa przecina nieśmiało północną krawędź powiatu), mizerne mieszciny i słomiane wsie, niedostatek szkół, nauczycieli, szpitali, ośrodków zdrowia — oto obraz powiatu położonego kiedyś na granicy imperium rosyjskiego i cesarstwa Austro-Węgier, zdalą od centrów przemysłowych Królestwa, od jego szlaków handlowych i komunikacyjnych. Nie odbiega prawdy sprawozdanie doktora Majkowskiego. I dziś jeszcze wypadnie przejechać furmanką lub samarami z Buska do Kielce!

Wojna sytuację pogorszyła. Znikło z powierzchni pięćdziesiąt procent wsi, pozostało 40 tysięcy hektarów zaminowanej ziemi, zginęło przy rozbijaniu terenów 5 tysięcy ludzi. Obecnie liczy powiat 128 tysięcy ludzi, na 126 tysięcy hektarów uprawnej ziemi i 46 tysięcy ha lasów i nieużytków (na Ziemię Odzyskaną wyemigrowało około 50 tysięcy chłopów, na służbę państwową 16 tysięcy (z tego 17 starostów). Z powierzchni uprawnej ziemi około 30 tysięcy ha nadaje się tylko do zalesienia. Liczy powiat 285 gromad, 25 gmin wiejskich i dwie miejskie.

SÓL ZIEMI

W chwili obecnej grupa inżynierów i geologów bada wnętrza ziemi stopnickiej. Według orzeczeń inż. Czarnockiego i prof. Pnińskiego ziemia ta posiada skarby, których eksploatacja opłacałaby się sowicie.



Szkic pow. stopnickiego. Projektowane przez starostę linie kolejowe i linie wysokiego napięcia.

Pominąwszy źródła słarszane w Busku-Zdroju i Solcu (Zakłady lecznicze) ziemia stopnicka kryje duże pokłady gipsu białego leżarskiego, którego zapasy przy wydobyciu 20 ton dziennie starczyłyby na 300 lat. Świdry doszukują się ropy naftowej, koło Chmielnika występują pokłady gliny białej do wyrobu porcelany (przerabia się ją na Śląsku), inżynierowie szukają ołowiu, cynku, pirytu. Chodzą wśród ludzi pogłoski o ukrytych gdzieś pokładach alabastru i węgla. Chłopi z Wójczy palą w lampach ropę wydobywaną własnym przemysłem z ziemi. Szuka się soli. Wszak już w 1787 r. przejeżdżając tędy król Stanisław August kazał sobie czynić różne doświadczenia... oglądał w oddzielnym gmachu piec i kotły czyli panwy, w których sprowadzona rurami z rzecznej skrzyni woda, warząc się przez godzin kilkadziesiąt, w białą i piękną sól zamieniała się (Naruszewicz). Warzenie soli w Busku trwało wtedy lat 7. Zaniechano jej później z powodu nierentowności przedsiębiorstwa. W ciągu lat powraca jednak do tego tematu, spodziewając się, że ziemia kryje w sobie sól, węgiel, naftę.

Nie oczekujemy cudów. Badania naukowe wykażą co zawiera w sobie ziemia stopnicka i czy przede wszystkim opłaca się eksploatacja ukrytych skarbów. Dziś staje się na oczach inny cud:

Oto leży przed nami drugi dokument starosty — mapa — plan uprzemysłowienia powiatu. Plan obmyślany i wykonywany przez starostę. Przypomina to robotę przedwojennego wiciarza, który chciał mierzyć siły na zamiary. Plan nie rozrachowuje kolejności

prac, nie przewiduje w ostatnich szczegółach zadań, nie mówi o czasie w jakim ma zostać wykonany. Plan jest buntem dawnego wiciarza przeciwko złu, jest wysunięciem po nocach ostatniej wojny wizją nowego szczęśliwego powiatu, w którymby nie było ani drewnianych domów, ani złych dróg, ani chorych dzieci, ani analfabetów.

Ta wizja powiatu, połączonego liniami kolejowymi z wiślanymi portami żeglugi rzecznej na południu i wschodzie a stacjami kolejowymi na północy i zachodzie (Kielce, Jędrzejów, Częstochowa), powiatu pociętego liniami wysokiego napięcia, dającymi ciepło i światło chłopskimi chałupom, przynosi nas o kilkadziesiąt lat naprzód, wiąże zapomniany powiat w życie ogólnopolskie.

Obok nowych szkół rolniczych, uniwersytetów ludowych, mieszczących się w dawnych pałacach szlacheckich, obok szkół monterów elektryków, samochodowo-tractorowych, krajeckich, powstawa fabryki przetwarzające bagactwa naturalne ziemi stopnickiej. Zaprojektowane są: garbarnie, mleczarnie, cukrownie, zakłady włókiennicze (odżyje tradycja Kurozwęk i Staszowa), browary, huty szkła, tartaki, zakłady przetworów owocowych, młyny, bekoniamie, zakłady ceramiczne, jedwabnicze, przetworów ropnych, koszykarskie, wytwórnie czekolady, szczerok, wyrobów powroźniczych. Plan rozmieszcza poszczególne zakłady stosownie do potrzeb miejscowości i bogactw terenu.

To jest wizja powiatu rewolucjonisty wiciarza. I to jest odpowiedź na pytania pamiętnika pisanego przed wojną. Czy ma ta wizja szansę realizacji? Jakże siły społeczne, materialne, ekonomiczne mają być wciągnięte do tego dzieła?

NA WSI

Pochylił nad mapą, na której naniesione są zmiany w krajobrazie powiatu, kontynuujemy dalszy ciąg wędrówki po powiecie. Siedzi nas pięcioro przy stole — sołtys, nauczyciel, starzy Domagałowie, gospodarze domu i ja, przybywszy z daleka. Patrzymy na siebie bacznie, ciekawie wzajemnych nowin.

Jestem w Bydłowie, zapadłej wiosce na wschodnim krańcu powiatu stopnickiego. Jest już noc. Nie widzimy pobliskich lasów, którego półkolem otaczają wieś i ciągną się het ku Staszowowi i Wiśle. Widzimy jednak szczyt lasu, rysuje się on nam dokładnie na tle czarnej ściany nocy. Gdy zmilknie na chwilę rozgwar naszych głosów, słyszemy daleki szum, znajomą mowę pięciu lat okupacji.

I wówczas stary Domagała pokazuje na mapie liczne znaki przedstawiające przyszłe fabryki i mówi: — tak, to się stanie! Nie wierzyłem dawniej, nie wierzyłem podczas wojny, a teraz wierzę. Nie mam syna, nie mam dzieci, a cieszę się. Słyszałem o zarządzeniu wywózki kamienia na drogi na rok 1948. W 49 r. każda gmina ma zrobić 5 kilometrów nowej drogi. Pierwszy stanę do tej roboty.

— Da to 125 km. bitej drogi w 49 r., a w 1954, za 6 lat powiat liczył będzie razem z obecnym stanem 1.000 km bitych dróg, — dodaje nauczyciel. — Zważcie też na akcję scalenia gruntowych. W wyniku tych scalen wyłączone w każdej wsi miejsce na boisko sportowe, pod spółdzielnię, dom ludowy, straż po żarną. We wsiach, gdzie znajduje się zarząd gminy istnieje projekt wyłączenia 1 ha ziemi pod przyszłą gminną spółdzielnię zdrowia.

— Starosta przewiduje utworzenie w każdej gminie szpitala na 15 łóżek — wytrącam.

— Po raz pierwszy jestem na takim zebraniu, gdzie nie słyszę narzekania — dorzuca sołtys. Ale przecież możemy zrobić przykłady dobrej roboty we wszystkich gminach gospodarki powiatu. To co mnie najwyżej obchodzi ze względu na dzieci i na mnie samego. Dzieci chodzą do gimnazjum w Busku a ja sam przeszedłem w tym roku w zimie — nie wstydzi się tego nazwać i dziękuję za to staroście — przymusowe nauczanie. Objęło to nauczanie tematy społeczno-gospodarcze, takie jak potrzeby scaleniowe, dróg, przemysłowe, rejonizacji, elektryfikacji. W tym roku, jak słyszę, nauczanie to obejmuje wszystkich poza wielkim szkolnym do 55 lat włącznie.

— Podobnie przedstawia się sprawa z dokształcaniem naszych przodowników społecznych — dodaje nauczyciel. Wszyscy przewodniczący gminnych rad narodowych, zastępcy i delegaci rad przejdą kurs znajomości prawa i potrzeb gospodarzy powiatu. Takie samo szkolenie obejmie wójtów i ich zastępców i 1 członka zarządu gminnego.

Przysłuchuję się rozmowie tych ludzi, snujących na podstawie dotychczasowych osiągnięć władz powiatowych swoje plany na przyszłość. Staram się odgadnąć ich pozycję społeczną przed wojną. Nie myślę się, Domagała był stałym na emnkiem u bogatych chłopów. Materialnie los jego nie wiele poprawił się obecnie. Jego awans społeczny polega nie na poprawie bytu materialnego. Domagała jest członkiem gminnej rady narodowej. Sołtys ma za sobą 90 dni aresztu przedwojennego za podatki i obrazę sekwestratorów. Nauczyciel pochodzi z sąsiedniej wsi i nie ma pełnego średniego wykształcenia. Uzupełnia je na kursach nauczycielskich.

Nafta w lampie się wypala a oni pochyleni nad coraz bardziej nieczytelną mapą wciąż rozprawiają o planie starosty, o ludziach rządzących dzisiaj powiatem. Wykach, Walaskach, Słotach, dawniej nieznanych, wydziedziczonych, ginących w tłumie najemników, pracy, łaknących soli, chleba i książki.

Maurycy Jaroszyński

OPORY STARYCH IDEOLOGII*)

(Rozważania polityczne)

1. FORMA CZY FUNKCJA INSTYTUCJI?

Poszczególne instytucje życia społecznego pozostają w ciągłym rozwoju tak, jak w stałym ruchu i rozwoju znajduje się całe życie społeczne. Rozwój dokonywa się raz powoli i niemal niepostrzeżenie, to znowu szybko, albo nawet gwałtownymi skokami o charakterze radykalnych przewrotów. Układ sił społecznych, odpowiadający układowi sił ekonomicznych danego kraju, jest tym generalnym tłem, na którym dokonywują się przemiany. Stąd zmiany w ogólnym układzie tych sił są głównymi czynnikami wpływającymi na przemiany poszczególnych instytucji, nie raz nawet bardzo drobnych.

Zmiany dotyczyć mogą formy i treści, albo nawet nie naruszając istotnych cech tych elementów w poszczególnych instytucjach, traktowanych w izolacji od całości i niejako samej w sobie — polegać mogą jedynie na nabieraniu nowego, z gruntu odmiennego społecznego sensu na tle całego układu stosunków społecznych. N. p. forma instytucji rodzinnej małym ulegała zmianom w długim szeregu wieków; natomiast społeczna jej funkcja zmieniła się radykalnie. Albo n. p. instytucja własności indywidualnej; istnieje ona w antycznym społeczeństwie niewolniczym i w ustroju feudalnym i we wszystkich fazach ustroju kapitalistycznego i w ustroju socjalistycznym. Forma jej ulegała zmianom bardzo nieistotnym; podobnie treść, jeśli brać bezdyskusyjnie pod uwagę stosunek właściciela do rzeczy w poszczególnych przypadkach. Natomiast społeczna funkcja i istotny sens własności jest zupełnie inny w każdej z wielkich faz społecznego rozwoju. Dla tego tak bardzo niebezpieczne jest wyciąganie wniosków z obserwacji jedynie ewolucji form; dochodzi się wtedy do twierdzenia, że właściwie nic nowego pod słońcem — wbrew oczywistości.

Prawo ewolucji instytucji życia społecznego nie oznacza bynajmniej, że każda z tych instytucji, których jest tak wiele i coraz więcej we współczesnym, coraz bardziej skomplikowanym życiu, rozwija się i zmienia równomiernie wraz ze zmianą podstawowych warunków gospodarczych i społecznych. Tempo dostosowywania poszczególnych instytucji do zmienionych warunków bywa różne, nieraz nawet bardzo różne. Tak jak w przyrodzie spotykamy dereliktów minionych epok, które uszły procesom ogólnego rozwoju, tak i w życiu społecznym poszczególne instytucje trwają nieraz znacznie dłużej, niż ich epoka i pozostają często w sprzeczności ze współczesnością. W dobie szczytowego rozwoju kapitalizmu nie brakło przykładów dereliktów z epoki feudalizmu, a w fazie socjalizmu znalazłby się z pewnością nie jeden zabytek okresu kapitalistycznego. Główny nurt rozwoju, zwłaszcza w przypadku gwałtownego przewrotu, kieruje się przede wszystkim na zmianę fundamentalnych instytucji i pozostawia czasowo na uboczu inne, mniej bezpośrednio związane z zasadniczym układem stosunków. Pomijając jednak te skrajne przypadki, należy stwierdzić, że i poza tym siły, napierające na zmianę, nie działają jednakowo mocno i jednakowo szybko na wszystkie instytucje, a działając, napotykała na różne siły oporu. Stąd różne są w czasie i przestrzeni efekty działania. Nie mniej przeto, jeśli weźmiemy pod obserwację dłuższy okres czasu, stwierdzimy, że prawo ewolucji, wyrażające się w przystosowywaniu poszczególnych instytucji do zmienionego układu sił ekonomicznych, działa zawsze i wszędzie. Nie podlegała mu jedynie także instytucje, które w zmienionych stosunkach traca w ogóle wszelki sens społeczny, a które mimo to mogą jeszcze trwać nawet czas dłuższy, ale już tylko jako puste formy tradycyjne, nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebne, ale też i nieszkodliwe.

Zmiany są bezpośrednim albo pośrednim wynikiem walki. Walka klas jest zasadniczym tłem wszelkich przemian. Jednakże interesy klasowe, o które się walczą, rzadko kiedy wysuwane są wyraźnie i otwarcie, jak to istotne motywy walki. Prawdziwe motywy, zwłaszcza ze strony broniących swego stanu posiadania, ukryte są przeważnie w kwiaty różnych ideologii, czy to będzie dobro „narodu”, interes „państwa”, solidaryzm społeczny czy też co innego.

Walka polega na łamaniu oporów. Opory pochodzą przede wszystkim z obrony własnych interesów. Są jednak i inne jeszcze opory i to bardzo mocne. W szczególności wokół każdej instytucji tworzy się w danej epoce specjalna ideologia, która oczywiście ma swoje źródło w danym układzie stosunków gospodarczych i społecznych; na dnie której znaleźć można zawsze czytelne interesy. Ci jednak, którzy w danej epoce panują — przy pomocy stojących do ich dyspozycji instrumentów panowania — potrafią zaszczerpieć swoją ideologię innym, nawet tym, których interesy są wręcz przeciwnie. Robotnik poczyniał wierzyć w świętość prywatnej własności i w błogosławione skutki prywatnej inicjatywy, jako motoru działalności gospodarczej; chłop poczyniał wierzyć w zbawiającą rolę prywatnej wielkiej własności i t. p. W

ten sposób ideologia, będąca w istocie rzeczy pochodną grupowych interesów gospodarczych, odrywa się częściowo od swojego źródła, usamodzielnia się w pewnym stopniu, zdobywa sobie zasięg znacznie szerszy.

Tym się tłumaczy przynajmniej częściowo to paradoksalne na pozór zjawisko, że ideologie mają często żywot znacznie dłuższy, aniżeli układ stosunków, który je wytworzył. Oderwane od źródła stanowią one wtórnie wprowadzone, ale bardzo mocne opory, przeciwstawiające się przystosowaniu starych instytucji do nowych warunków. Jedni szerzą, a starą ideologią perfidnie dążąc do powrotu dawnych warunków, odpowiadających ich grupowym interesom. Inni opierają się zmianom, bo wyznają ideologię, która im potrafiłoby wszczepić wbrew ich interesom.

2. OPORY IDEOLOGICZNE.

Zjawisko oporów „ideologicznych” występuje szczególnie silnie i jaskrawo w t. zw. okresach przejściowych. Takimi właśnie okresami przeżywamy obecnie.

Podstawowy układ stosunków gospodarczych i społecznych, a w nieodpartej konsekwencji także politycznych, uległ u nas po wyzwoleniu zmianom gruntownym i rewolucyjnym. Wprawdzie prywatny kapitalizm nie został całkowicie usunięty z życia polskiego, ale zdecydowanie przesłać być podstawą ustroju gospodarczego, przyjmując na się wyznaczoną mu skromną rolę czynnika, uzupełniającego system gospodarki uspołecznionej i podporządkowanego jej nakazom. Drugi filar starego ustroju — obszarnictwo rolne — został zdruzgotany kompletnie i nieodwołalnie. W następstwie tego tworzy się również nowy ustrój polityczny, którego istota tkwi w uspołecznieniu, uludowieniu organizacji państwowej.

Jednakże świadomość doniosłości przemian w układzie podstawowych stosunków, a zwłaszcza dalekosiejszości konsekwencji tych przemian nie stała się bynajmniej jeszcze dobrem powszechnym Polaków. Akceptuje się na ogół dokonane, poszczególne zmiany; natomiast wielu, bardzo wielu nie zdaje sobie jeszcze sprawy z ogólnego sensu zmian, traktowanych w całości i we wzajemnym związku. Jedni przyjmują zmiany z radością, inni ze szczerą czy udaną rezygnacją. Co się stało, to się nie odwołanie, powiada się zazwyczaj. Ale mało kto dotychczas rozumie, że to co się stało jest tak podstawowe i doniosłe, że wymaga w nieodpartej konsekwencji zmiany tego, co się jeszcze „nie stało”. Zmiana fundamentów wymaga dostosowania i zmiany wszystkich istotnych składników budowy, która się na nich wspiera. Inaczej cała budowla może się zawalić!

Tymczasem stare ideologie, dotyczące szczegółów struktury społecznej i politycznej, żyją jeszcze i stwarzają dodatkowe opory w przebudowie całości na nowych fundamentach. Ideologie owe są podtrzymywane przez normy i konstrukcje prawne, które, pochodząc z okresu minionego, utrzymywały się w formalnej mocy w okresie przejściowym.

Funkcją społeczną wszelkiego prawa jest utrwalenie stosunków, instytucji i pojęć, właściwych danej epoce rozwoju społecznego. Te same funkcje spełniało prawo w epoce minionej; odpowiada ono układowi sił społecznych, który już należy do przeszłości. Jeżeli mimo to wiele, bardzo wiele spośród norm i konstrukcji prawnych, pochodzących z przeszłości i wynikających z ówczesnego układu stosunków, nie zmieniono dotychczas mimo niedostosowania ich do nowego ładu, to stało się tak dlatego przede wszystkim, że po prostu uczynić tego nie zdołano. Albowiem przy wszystkich analogiach, jakie można przeprowadzić między budową domu i budową państwa, zachodzi między jednym a drugim jedna kapitalna różnica: dom musi się budować stopniowo, jedna kondygnacja po drugiej, gdy tymczasem państwo musi powstać odrazu ze wszystkimi istotnymi składnikami, inaczej bowiem nie byłoby państwem. A ponieważ wszystkich nowych składników od razu stworzyć nie podobna, więc z konieczności, aby nie wywarzać pustki, której istota państwa nie znosi, pozostawia się tymczasem składniki stare, wymieniacz je stopniowo. Ten składniak konieczny proces stopniowej przebudowy ma jednak tę ujemną stronę, że pozostawione chwilowo w mocy stare normy i konstrukcje wspierają przestarzałe ideologie i umacniają w wierze opornych, z jakichkolwiek motywów ich opory pochodzą.

Tego rodzaju instytucji nie przebudowanych i nie dostosowanych do zmienionych fundamentów jest jeszcze bardzo wiele w naszym życiu państwowym. Wśród nich bardzo poczesne miejsce zajmuje **samorząd**. Oporów i sporów jest na ten temat bodaj jeszcze więcej, niż na temat jakiegokolwiek innej instytucji. Pochodzi to stąd, że samorząd był i pozostał instytucją, dotyczącą bezpośrednio życia szerokich mas ludności, a więc instytucją bardzo popularną i w niedawnej naszej przeszłości odgrywał dużą rolę nie tylko z punktu widzenia techniki zarządzania sprawami publicznymi, ale także i to może jeszcze w wyższym stopniu ze względów politycznych. Ideologia narodziła się wokół samorządu jest szczególnie wyrazista i mocna. Tym bardziej wypada nam poddać analizie istotne

składniki tej instytucji i wytworzonej wokół niej ideologii, wyprowadzić właściwą ich genealogię i ocenić, czy i jaką rację bytu zachowały one a wraz z nimi cała instytucja wobec zmienionych fundamentów naszego zbiorowego życia.

3. „SPRAWY MIEJSKOWE”

Samorząd jest instytucją bardzo starą. Przetrwiał różne fazy społecznego rozwoju, charakteryzujące się różnymi układami podstawowych stosunków. W rozmaitych warunkach kształtowały się jego charakterystyczne cechy i tworzyły się pojęcia, z których wiele przetrwało do chwili obecnej. Ale, jak wiemy, cechy danej instytucji, utrwalone w prawie i towarzyszące im pojęcia, trwają często dłużej, aniżeli warunki, które uzasadniają ich powstanie. Tak się ma również sprawa z samorządem.

Samorząd a szczególnie samorząd terytorialny, najstarsza i najbardziej typowa forma tej instytucji, istniał w czasach, które dziś nazwalibyśmy pierwotnymi, kiedy niski poziom techniki całego ówczesnego życia czynił z poszczególnych miejscowości i okręgów jednostki izolowane i odseparowane od siebie, żyjące z konieczności życiem własnym, odrębnym od innych. Więż mniej lub więcej bezpośrednio sąsiedzka, na której opierał się samorząd miejscowy, była wtedy — w braku innych, szerszych — główną podstawą społecznego życia.

Takiemu układowi faktycznych stosunków po stronie ogółu jednostek terytorialnych w państwie odpowiadała charakterystyczna sytuacja samego państwa, jako najszerszej organizacji. Mianowicie państwo ograniczało swój zakres działania w stosunkach wewnętrznych do minimum, uzasadnionego koniecznością, bo faktycznym układem stosunków z których tylko małą część może ono bezpośrednio opanować. Resztę, olbrzymią resztę, pozostawia innym instytucjom, działającym wewnątrz terytorium państwowego a więc samorządowi miejscowemu, organizacjom stanowym, a także kościołowi.

Na tym tle rzeczywistych warunków ówczesnego życia wytworzyła się koncepcja samorządu, jako instytucji samostnej, odrębnej i niezależnej od państwa powołanej do zaspakajania potrzeb „miejscowych” w przeciwieństwie do potrzeb „państwowych”, którymi zajmuje się państwo. Wytworzyła się pojęcie przeciwstawności spraw lokalnych, „samorządowych”, z jednej i spraw ogólnych, „państwowych” — z drugiej strony. Cała ta koncepcja i wynikające z niej konsekwencje były całkowicie uzasadnione ówczesnymi warunkami życia.

Ale warunki zmieniają się. Raz powoli, to znowu gwałtownymi skokami. Postęp stopniowo burzy układ stosunków, w których gromady ludzkie żyły z konieczności w izolacji, zdane tylko na wzięcie sąsiedzka, jako jedyną czy główną podstawę wspólnoty. Gospodarka wymienna wypiera coraz bardziej dawną gospodarkę naturalną. Rozwój produkcji fabrycznej powoduje masowe wędrówki ludności, która dotychczas skazana była z działa pradziada na życie w ciasnych okęgach terytorialnych. Postęp techniczny w dziedzinie komunikacji i łączności zbliża ludzi, którzy poprzednio nawet wiedzieć o sobie nie mogli. Tworzą się nowe rodzaje więzi, obejmujących coraz szersze koła, z których podstawowa i najmocniejsza staje się wspólność sytuacji; społeczno-gospodarczej, wynikająca z nowego, klasowego ustroju społeczeństwa.

Rzecz prosta, że przemiany nie dokonują się równym krokiem wszędzie. W niektórych państwach występuje jaskrawo zjawisko niedorozwoju gospodarczego i społecznego; wtedy widzimy, nawet na jednym i tym samym terytorium państwowym, jaskrawe sprzeczności, jak daleko posunęła industrializacja i urbanizacja niektórych okęgów (u nas w okresie międzywojennym okęg śląski lub łódzki) z jednej strony, a życie w izolacji, nieomal jak przed wiekami — z drugiej strony (u nas wiele okęgów wiejskich). Zanotujmy: fakt opóźnionego rozwoju u nas i przetrwanie życia w izolacji na stosunkowo szeroką skalę — stwarza podany grunt do podtrzymywania tej koncepcji samorządu, która tkwi swymi korzeniami w zamierzchłych czasach stosunków pierwotnych.

Wracając do pojęcia „spraw miejscowych” w przeciwieństwie do „spraw ogólnych”, należy stwierdzić, że postęp przejawia się na ogół w stopniowym przenoszeniu poszczególnych zagadnień z pierwszej kategorii do drugiej. Proces ten przedstawmy sobie obrazowo n. p. na przykładzie zagadnienia światła w małym miasteczku. Początkowo zagadnienie to jest rozwiązywane wyłącznie indywidualnie przez posiadanie jakichś kaganków w domostwach mieszkańców i posługiwanie się przez każdego z osobna latarniami ręcznymi i w razie konieczności przejęcia przez miasteczko w ciemnościach. W następnym stadium znajdziemy już jakąś prymitywną latarnię naftową, umieszczoną na stałe w punkcie bardziej uczęszczanym. Jeszcze później spotkamy małą, lokalną elektrownię, dostarczającą prądu do mieszkań i do oświetlenia ulic. Aż wreszcie miasteczko włączy się w okęgową czy ogólnopaństwową sieć

elektryfikacyjną. Granica między sprawą lokalną a ogólną zatrza się wtedy całkowicie. Podobny proces przechodzą inne „sprawy” i zagadnienia, jak szkoły, urządzenia zdrowotne, opiekuńcze, komunikacyjne i t. d.

W tym procesie stopniowym, że się tak wyrażę, uogólniania się czy unaradawiania spraw miejscowych, można wyróżnić dwa zasadnicze momenty, które spletają się w jeden nurt, przeobrażający pierwotny układ stosunków. Z jednej strony wzrasta, rozszerza się i przybiera na intensywności współzależność jednostek i gromad ludzkich, w tej liczbie również gromad, opartych na wspólności sąsiedzkiej. Wskutek tego rozrasta się i zagęszcza zakres spraw ogólnych. Sprawa szkoły w danej wsi, czy stanu zdrowotnego jej mieszkańców interesuje znacznie szerszy ogół, bo całe społeczeństwo, albowiem od takiego albo innego jej rozwiązania zależy bezpośrednio układ stosunków ogólnych w danej dziedzinie życia. Z drugiej strony postęp techniczny stwarza możliwości lepszego rozwiązywania zagadnień w skali szerokiej, ogólnej, aniżeli było to dotychczas możliwe w skali jedynie miejscowej. Przykład energii elektrycznej jest drobnym, ale bardzo charakterystycznym dla tego zjawiska.

Procesowi, o którym mowa, odpowiadają nowe systemy zarządzania sprawami społeczeństwa, które są wyrazem zmienionych i wciąż zmieniających się warunków: rozmaite, na ogół chwilowe próby „gospodarki kierowanej”, przeradzające się coraz częściej i wyraźniej w system gospodarki planowej. Jest rzeczą jasną, że plany narodowe muszą obejmować wszystko, co ważne i istotne w życiu społeczeństwa, w tej liczbie także wiele z tego, co było i jest domeną działalności samorządu.

4. ROZWÓJ „SAMORZĄDU”

Proces unaradawiania się potrzeb oraz sposobów ich zaspokajania jest w ciągłym ruchu i nie oznacza bynajmniej, że w każdej chwili wszystkie potrzeby i cała technika zaspakajania ich są już „ogólne” i unarodowione, a tym bardziej w jednokowym stopniu. Życie wysuwa coraz nowe potrzeby, nowe zagadnienia i nowe sposoby technicznych rozwiązań, które podlegają temu procesowi. Gdybyśmy na chwilę postrzegli ten ciągły ruch wstrzymać, ażeby stwierdzić, w jakim stadium rozwoju jesteśmy, zobaczylibyśmy obraz dość złożony. Jedne zagadnienia są już całkowicie wciągnięte w orbitę życia narodowego, uznane za wspólną sprawę całego społeczeństwa i rozwiązywane mniej lub więcej ogólnymi metodami. Obok nich znaleźliśmy sprawy, które uznaje się za bezsporne za „ogólne”, co do których jednak nie wykształciły się jeszcze metody ogólnych rozwiązań, albo też znane i uznane rozwiązania nie dają się jeszcze zastosować z różnych przyczyn, przede wszystkim finansowych. Tak więc uznając planową sieć ogólną w zakresie elektryfikacji za najlepsze rozwiązanie potrzeby uważanej za sprawę narodową, godzić się musimy jednocześnie z istnieniem wielu miejscowości, bez światła w ogóle albo oświetlonych przy pomocy lokalnych źródeł energii. Podobnie uznając potrzebę zdrowej wody za sprawę ogólną, a nie tylko lokalną, a zaspokojenie tej potrzeby przez okęgową czy nawet szerszą sieć wodociągów za najlepsze rozwiązanie techniczne, godzić się musimy z tym faktem, że gromadka studnia we wsi jest tymczasem wyrazem postępu w tej dziedzinie. Poza tym widzimy szereg spraw, wynikających ze szczególnych warunków w danej okolicy czy nawet miejscowości; i te także są niewątpliwie związane z całością życia społecznego i interesują ogół, ale stopień tego związku jest aktualnie stosunkowo słaby. Wreszcie: wiele (jeżeli nie wszystkie) z problemów życia zbiorowego, nawet najbardziej narodowego charakteru ze względu na swoją istotę, posiada pewien koloryt lokalny, gdy chodzi o ich realizację. I ta pewna odrębność kolorytu stawia swoje wymagania organizacji i technice rozwiązań.

Na jedno jednak musimy się zgodzić: nie ma dziś spraw z natury swojej lokalnych, które by można było przeciwstawić sprawom ogólnopaństwowym. Każda sprawa jest sprawą ogólną, przynajmniej potencjalnie. Proces unaradawiania się potrzeb i zagadnień życia zbiorowego jest w pełnym ruchu i jest wyrazem postępu. W każdym razie objął on już i skonsumował najważniejsze, można powiedzieć, klasyczne dziedziny pracy samorządu, jak zdrowie, opieka społeczna, oświata, komunikacja i wiele innych. I w każdym razie na przeciwstawności spraw lokalnych i spraw ogólnonarodowych nie można budować dzisiaj koncepcji samorządu.

Faktyczny rozwój samorządu we wszystkich krajach dowodzi prawdziwości powyższych twierdzeń. Albowiem wszędzie, i to od dawna, czynnik centralny wkroczył głęboko i szeroko w sferę dawniejszych „spraw lokalnych” sprowadzając je różnymi sposobami do jakiegos przynajmniej mniej więcej wspólnego, ogólnonarodowego mianownika.

Anglia np. pozośnie pozwala zarządom lokalnym rozwiązywać w sposób dowolny nawet bardzo ważne problemy życia narodowego, rzadko tylko uciekając się do regła-

*) Artykuł prof. Jaroszyńskiego stanowi część pierwszą studium o „Samorządzie w Demokracji Ludowej”.

Tadeusz Orlewicz

ŚWIATOWA POLITYKA APROWIZACYJNA

OBRAZ OGÓLNY.

W dziedzinie aprowizacyjnej świat przeżywa poważne trudności. Trudności te istniały przed wojną i istnieją nadal w zastrzonych kształtach i w spętanej formie. Zagadnienie niedzi i głodu wielu milionów ludzi na świecie jest równie ważnym, jak i bolesnym problemem, którego rozstrzygnięcie leży na polu walki o ugruntowanie międzynarodowego pokoju, na polu walki o społeczne i polityczne bezpieczeństwo światowe.

W dziedzinie tej obserwujemy szereg faktów, które składają się na obraz interesującego nas zagadnienia żywnościowego.

ROK 1943.

Kiedy w roku 1943 wysunięto projekt stworzenia światowej Organizacji Rolnictwa i Żywności Narodów Zjednoczonych (F.A.O.), szereg krajów spośród 44 państw biorących udział w tej konferencji stanęło przed koniecznością zrewidowania swoich poglądów na sprawy aprowizacyjne w skali międzynarodowej.

W roku 1943, jednym z sześciu lat ostatniej zawieruchy wojennej, stwierdzono olbrzymią dysproporcję w wyżywieniu ludności na świecie i produkcji rolniczej państw. Już wówczas obliczono, że 35% ogółu ludności na świecie głoduje, że kiedy miliony ludzi ginie z wyczerpania głodowego, wiele krajów pali lub niszczy plody rolne zebrane w nadmiarze, nie podejmując inicjatywy sprawiedliwej i słusznej dystrybucji nadwyżek pomiędzy kraje potrzebujące.

Ustalono także wówczas, że świat prowadzi zawsze deficytową gospodarkę aprowizacyjną, a jednocześnie 2/3 ludności we wszystkich krajach i państwach, biorąc ogólnie, pracuje w rolnictwie i te 75% nie może zapewnić ani sobie, ani reszcie ludności światowej wystarczającej ilości płodów hodowlano-rolnych. Wnioski, jakie wypłynęły z tych twierdzeń napawać mogły obawą dalszego pogłębiania się trwającego od dawna niedostatku żywnościowego na świecie. Jednocześnie jednak samo postawienie sprawy było najpomyślniejszym rezultatem tych konferencji, ujawniło bowiem jedną z najważniejszych trosk świata, o której się mówi powszechnie, że brak chleba niejednokrotnie wytyczał drogi historii, że niedzi i głód — to największe zagrożenie pokoju.

ROK 1945.

Pierwsza inauguracyjna sesja F. A. O. z udziałem 48 państw, w tym i Polski, jako wynik konferencji z 1943 odbyła się w roku 1945. Warto podkreślić, że F. A. O. była pierwszą międzynarodową organizacją Narodów Zjednoczonych. Jak przedstawiała się sytuacja na świecie w dziedzinie aprowizacji w tym roku?

Był to rok zakończenia działań wojennych. Działalność ogólnie emocjonalny nastrój, wspólna radość ze wspólnego zwycięstwa, narkotyzowanie się powietrzem odzyskanej wolności w krajach, okupowanych przez terror hitlerowski, zapadł do jak najszybszego odrobienia strat i szkód wojennych, górę brały akcenty współpracy, wyniesione z wspólnie przelanej krwi i wspólnie odbytych walk. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że w różny sposób manifestowano na rzecz zdobytego pokoju. Nie chodzi nam o temperamenty narodowe, o naturalną ekspresję w wyrażaniu uczuć. Chodzi nam o to, że i w Europie i za oceanem świat pracy, robotnicy i chłopci manifestowali szczerze i bezkompromisowo, bo tylko pokój trwał i powszechny leży w interesie narodów. W roku 1945 milczały jeszcze te sprężyny gospodarki międzynarodowej, które w wojnie i bezładzie, w dysproporcjach i zamęcie widzą jedynie podatny klimat dla gromadzenia rabunkowych zysków i mnożenia swoich dobrze rentujących portfeli akcyjnych.

Świat zatem przeżywał okres powrotu do życia. Świat zastał zerwane sieci porozumień międzynarodowych, połamany kręgosłup przemysłowy w wielu krajach europejskich, zaniebaną ziemię, braki w koniecznych do uprawy środkach i narzędziach, dezorganizację wreszcie całego życia gospodarczego przez okupanta i przez ciężki, krwawy walec wojny.

Dlatego w dziedzinie aprowizacyjnej sytuacja była znacznie gorsza niż przewidywano to w roku 1943 w Hot Springs. Ruszyła pomoc UNRRA. Nie była ona jednak zdolna zaspokoić wszystkich potrzeb głodujących krajów na świecie, tym bardziej, że ośrodki dyspozycji rozdzielczej nie były niemal od samego początku wolne od tendencyjnego oceniania priorytetu potrzeb dla poszczególnych państw. Ogólnie jednak pomoc ta w najcięższych dla wielu narodów chwilach stała się poważnym czynnikiem, wpływającym na czasowe choćby wyeliminowanie groźby masowego głodu i niedzi. Nie przyniosła jednak pomocy UNRRA oczekiwanych rezultatów, w wielu bowiem krajach nie doczekano się jej pomocy, przewidywany okres dostaw był za krótki na potrzeby świata, a zasady rozdziału i organizacja dostaw nie zawsze stały na wysokości zadania.

Rejestrując, że wojna i okupacja wpłynęły znakomicie na zmniejszenie obszaru pól uprawnych oraz na wydajność produkcji z 1 ha w krajach bezpośrednio dotkniętych skutkami pożogi, że możliwości nabywcze ludności i płatnicze tych krajów zmalały do minimum, że mimo tego podaż dóbr konsumcyjnych nie mogła zaspokoić bardzo sil-

nie zmniejszonego popytu, musimy przypomnieć, że wyjątkowo ciężka sytuacja gospodarcza zarysowała się w Chinach, Indiach i w konsekwencji klęski — w Japonii oraz u głównego sprawcy wojny — w Niemczech.

Jednocześnie jednak trzeba pamiętać, że w/g oficjalnych danych rok 1945 jest w dziedzinie zapasów, posiadanych przez główne kraje eksportacyjne, rokiem dalszego spadku zapasów zboża. W roku tym na eksport z USA, Kanady, Argentyny i Australii poszło 15,3 milionów ton samej pszenicy, powodując spadek zapasów łącznych do 22,4 milionów ton, wobec maksymalnego stanu, rejestrowanego w roku 1942/43, a wyrażającego się 45,5 milionami ton.

Zniwa w roku 1945 dały Europie niecałe 50% zapotrzebowania przedwojennego, a więc dla samej Europy, aby utrzymać poziom wyżywienia jej narodów, na poziomie z przed roku 1939, trzeba było około 30 milionów ton zbóż. Natomiast dla krajów pozaeuropejskich obliczono wówczas potrzeby minimalne w zakresie importu na 8—10 milionów ton wobec słabych urodzajów ryżu.

Między zapotrzebowaniem a jego realiza-

cją jest różnica i w konsekwencji świat zakończył rok 1945 niewiele zmienioną sytuacją aprowizacyjną i bez większej nadziei na lepszy nowy rok zbiorów i urodzaju. Kraje rozpoczęły wewnątrz organizować się gospodarczo, licząc coraz bardziej na własne siły. W stosunkach międzynarodowych poczynają dominować układy bilateralne, dwustronne.

W walce o własny chleb dla samego siebie, w walce o lepszy byt zaczynają dominować państwa demokracji ludowej, wprowadzając wraz z gospodarką planową ład w odbudowie i rozbudowie, wprowadzając wyrażne akcenty sprawiedliwego i słusznego podziału dochodu narodowego.

ROK 1946.

W roku 1946 kłopoty aprowizacyjne świata mimo wielu wysiłków i postępującej odbudowy niewiele miały szans na zmniejszenie się. Sytuacja w Europie na odcinku zbóż chlebowych była nadal trudna. Przez całą Europę przechodziła fala dużych ograniczeń, wprowadza się system aprowizacji reglamentowanej. Ogólnie twierdzono w tym ro-

ku, że poprawa nastąpić może najwcześniej po zniwach w roku 1947.

Różnie wówczas oceniano potrzeby Europy w zakresie zbóż chlebowych. Jedni twierdzili, że deficyt zbożowy wyraża się cyfrą 30 milionów ton (John Boyd Or). Inni obliczali go na 12 milionów „celem zwiększenia normy żywnościowej dla 100 milionów ludzi w krajach wyzwolonych, dla likwidacji niedojadania, cierpień i chorób” (dane amerykańskie). Inni wreszcie stwierdzili, że Europa musi otrzymać co najmniej 15 milionów ton zboża, aby zapewnić minimum wyżywienia ludności europejskiej (dane angielskie). Poza tym obliczono potrzeby importowe w zbożu dla Chin, Indii i t. p. na 11 milionów ton, przy czym warto podkreślić, że ten wysoki import zbóż chlebowych przekroczyć miał czterokrotnie normalne zapotrzebowanie tych krajów w omawianym dziale. Ma to jednak swoje usprawiedliwienie przede wszystkim w dotkliwym spadku produkcji ryżu pomijając zasadniczą kwestię katastrofalnie niskiego poziomu wyżywieniowego ludów Dalekiego Wschodu i Afryki.

Gdybyśmy więc próbowali w bardzo po- bieżnym szacunku określić zapotrzebowanie świata na zboża chlebowe, a raczej określić ilości konieczne dla załatwienia głodowego deficytu, to musieliśmy się zatrzymać w przybliżeniu przy 34 milionach ton zbóż chlebowych. Przewidywany eksport obliczano na 23,7 milionów ton łącznie z głównych krajów eksportujących.

Obliczenia angielskie stwierdziły, że w roku 1946/47 potrzeby importowe świata będą mogły być zaspokojone w 75%, przewidywano zatem deficyt 8 milionów ton. W listopadzie ub. roku okazało się, że deficyt obliczać trzeba na 10 milionów ton zbóż chlebowych. Zaczęły działać tu ukryte sprężyny finansjery międzynarodowej, która zainteresowana jest w polityce wysokich cen i „pustych półek”. Kapitalizm, zainteresowany w utrzymaniu swoich rentownych przywilejów, stara się prowadzić politykę aprowizacyjną, odpowiadającą ich własnym interesom. Jeżeli w USA zyski samych tylko kompanii mięsnych wynosiły w roku 1944 siedem razy więcej niż w okresie przedwojennym, to przyczyny i skutki zjawisk są jasne.

W roku 1946 zaczyna się zarysowywać już taka sytuacja, w której można twierdzić, że trudności w przełamaniu kryzysu żywnościowego świata, a zwłaszcza Europy nie leżą w absolutnym braku żywności, ale w warunkach politycznych i społeczno-gospodarczych.

Sygnalizowano już wówczas, że w samej Europie około 5 milionów ludzi może zdobyć się na zakup produktów aprowizacyjnych o wartości dziennej mniejszej niż 1500 kalorii, że w USA przeciętna dzienna wynosi 3.360 kalorii (przeciętna w tym wypadku oczywiście błędna, bo tam podział dóbr jest szczególnie rażący i nierównomierny), że połowa ludności świata vegetuje w warunkach podkonsumcji. Sygnalizowano wtedy zmniejszenie arealu w krajach eksportujących o 24 miliony akrów i obracanie poważnej ilości zbóż chlebowych na potrzeby inwentarza żywego. Uporczywie odzywały się głosy, że w okresie postępu nauk rolniczych i techniki, przy rozwijającej się nauce o właściwych normach i sposobach odżywiania, istnieje najzupełniej realna możliwość wyżywienia świata. Z takimi troskami i myślami weszliśmy w rok 1947.

ROK 1947.

Rok ten przyniósł na wielu odcinkach ciekawe zjawiska. W dziedzinie nas interesującej odezwały się poglądy, które na podstawie suchej analizy statystycznej dowiodły, że na świecie praktycznie jest dość zboża na zaspokojenie minimalnych potrzeb obywateli krajów zniszczonych i głodujących („Nowoje Wremia”).

Ale okazało się, że zboże to nie dociera tam, gdzie dotrzeć powinno oraz, że koncerny i kartele międzynarodowe dążą do utrzymania cen zboża na najwyższym możliwym poziomie. Stwierdzono bowiem, że np. w USA 4 miliony ton pszenicy ma być zużyte na paszę dla świń, że pszenicę pali się dla utrzymania cen (Argentyna) lub magazynuje jako rezerwy interwencyjne.

Jednocześnie rezerwy dolarowe w krajach potrzebujących albo się skończyły, albo są na wyczerpaniu.

I tu wchodzi czynnik trzeci — zboże jako jeden z instrumentów polityki imperialistycznej, który ma służyć do wywierania odpowiedniej presji politycznej na państwa, potrzebujące chleba, mięsa i tłuszczów. Instrument działa, gdyż w przydziałach eksportowych nie decydują realne potrzeby kraju, ale aspekt polityczny. W walce o suwerenność gospodarczą iamią się kraje zachodniej Europy, iamią się przed mitem dolara. Kraje demokracji ludowej, nie odrzucając zasady dobrych obyczajów w wymianie i handlu międzynarodowym, nie odrzucają żadnej okazji realnego układu handlowego, ale na żadne ograniczenie suwerenności gospodarczej pod presją dolara niewątpliwie nigdy nie pójdą. Cena wywalczonej niepodległości jest za duża na to, aby frymarzyć nią i puszczać na targ. Charakterystyczne jest zjawisko, powszechnie obserwowane w tych państwach. Zjawiskiem tym jest świadomość, ugruntowana w masach, że własną pracą i własnym wysiłkiem, że realnym osiągnięciem na polu gospodarczym zmusza się innych do szacunku i liczenia się z konkretnym potencjałem finansowym, przemysłowym i rolniczym.

Tadeusz Chróścielewski

Plewienie ogrodu krytyki

47-my numer „Kuznicy” wyszedł pod znakiem Mickiewicza. Otwiera go fragment powieści biograficznej Mieczysława Jastruna o autorze „Dziadów” — Leona Gomoliczkiego — „Droga do Rosji” (Mickiewicz i „przyjaciele Moskale”), studium egzegetyczne Wacława Kubackiego o tzw. „małej improwizacji”, „Symbole i komentarze”, wreszcie obszerna recenzja Gomoliczkiego o biografii Szypera — „Poeta i człowiek czynu”. W sumie więc trzy (powieści nie licząc) rodzaje tradycyjnej krytyki historyczno-literackiej.

Literatura krytyczna w Polsce będąca w obiegu w ciągu 25-lecia przypominała istny „ogród nieplewiony”, w którym, obok cennego dorobku naukowego Kleinera, Krzyżanowskiego czy Borowego, krzewiła się „wszakaja wsiaczyna”.

Oswajany z nią sztubak wyższych klas wyobrażał sobie, że wie o autorze i dziele literackim, to tzw. „woda”, a rozwiązywanie jakiegokolwiek zjawiska literackiego sprowadza się do stwierdzenia faktu, że „poeta ukochał...”

Wyrośli z tego sztubaka inteligent — niehumanista zetknął się jeszcze przypadkowo z paroma tradycyjnymi rozprawami uczonych w piśmie i w rezultacie uważał studia nad literaturą za coś mało poważnego.

Tradycje:

1) Moralistyczna szkoła Chrzanowskiego — kryterium oceny — temperatura uczuć patriotycznych i żarliwości religijnej autora.

2) Pokutujący od czasów Młodej Polski „psychologizm” — pojmowanie „geniuszu” jako ahistorycznej, wyrwanej z życia epoki transcendentalnej siły — cząstki Absolutu. W celu „badania” jej musiano zbudować, z natury rzeczy, fantastyczną psychologię „geniuszu”. Pojmowała ona całokształt życia psychicznego autora, od urodzenia do śmierci, na obraz i podobieństwo stanu duchowego Konrada w momencie wygłaszania wielkiej improwizacji (z tego wynikał styl profetyczny krytyki). Biografia autora i jego dzieło to jedno.

„Precyzność” takiej metody jest widoczna choćby w ocenie twórczości Asnyka — uczynił to W. Feldman („Współczesna litera-

tura”, jako... ognistego wulkanu, ziejącego lawą.

Leżąc w założeniu spekulacja i odwrót od rzeczywistości i zdrowego rozsądku spowodowały m. in. rozprawę o „kopule wzniosłości” prof. Pigonia („Pan Tadeusz, wzrost, wielkość, sława”), w której autor uintelektualnia szczytowy utwór uwielbianego poety, wyposażając go w obcą mu problematykę.

Trzeba było dopiero szcztuka, jaki wyciął geniuszomom przekorny obrazawiacz — Boy w „Obrazunkach fredrowskich”, by przywieść ich do opamiętania.

Na odcinku interesujących nas w tej chwili badań nad dziełami Mickiewicza wielu adeptów tej szkoły „badało” z żarliwością rachmistrza ilości diabłów na łebku szpilki u schyłku scholastyki, czy wieszczę w swych „czterdziestu i czterech” miał na myśli Ludwika Napoleona, czy marszałka Józefa Piłsudskiego, lub kto to stał (a stać musiał koniecznie) z Mickiewiczem pod pomnikiem Piora W. — Puszkina, Rylejewa czy zgola kto inny?

3) Szkoła formalistów, zbiłkana, traktująca utwór niezależnie od epoki, uciekająca od problemu, widząca jedynie formę.

Z bieżącego numeru „Kuznicy” widać, że ma się na znaczną poprawę „państwa duńskiego” naszej krytyki. (Było to również widoczne w posłowie niedawnego zjazdu w Krakowie akademików polonistów, na którym młodzi referenci wiażali doświadczenia dotychczas abstrakcyjnego formalizmu z ujęciem socjologiczno-historycznym).

Autorzy świeżych rozpraw o Mickiewiczzu 1) trzymają się w ocenie zjawisk ściśle wymowy faktów i rezygnują z problemów nieistotnych, nie dających się rozwiązać na płaszczyźnie naukowej.

2) Rozważania biograficzne zerwały z natwornym utożsamianiem sytuacji literackiej z konkretnymi wypadkami z życia twórcy. Mają one ustalić sytuację społeczną i treść społeczne świadomości „homo artifex socialis”.

3) Całość: analiza biograficzna i formalna — podporządkowana jest socjologicznej interpretacji zjawisk literackich.

Ze sztambucha „Kultury ludowej”

Ks. Antoni Dąbrowski, Wice-dziekan ostrowski i Proboszcz parafii Długosiodło, „Kazania i mowy przygodne”, Warszawa, 1898.

Zapewne znaleźli się wśród was niechętni lub zupełnie przeciwni temu dziełu Bożemu, którzy utrzymywali, że budowanie nowego kościoła do niedzi ich przyprowadzi, lecz chciałbym widzieć choć jednego przez to zubożałego! Jakże oni godni polowania z powodu wstyd, jakiego doznają przy dzisiejszej uroczystości, bo o ile wszyscy się tu radujecie, o tyle oni przeciwnie smucą się za swą nieszczęsną oziębłość. Żal mi was wielce, a wierząc mi, że ta rana serc waszych dopóty się nie zagoi, dopóki hojniejszą ofiarą nie na- grodzicie dawniejszej swej grzesznej nie- dbałości.

Parafio Lubotyńska, ciesz się niewymownie, bo Ojciec wszelkiej pociechy wysła- chał głosy serc waszych i pozwolił wam, pomimo dzisiejszych twardych warun- ków, mieć swoją świątynię! Teraz już wa- sza pobożność w uczęszczaniu nie dozna oowych przeszkód, jakie brak odpowiedniej świątyni wytwarza! Lecz zapamiętajcie, że od dziś względem kościoła tego zacią- gnęliście obowiązki, jako dzieci wzglę- dem swej matki. Kościół ten bowiem be- dzie wam zawsze najczulszą matką i źró- dłem niewyczerpanym wszelkich pociech. Obyście dzisiaj dobrodziejstwa kościoła tak pojmować mogli, jak je oceniać be-

dziecie w dzień sądu ostatecznego. Uczyni- my przypuszczenie, że kościół ten dotrwa dnia sądu strasznego. W onej chwili na odgłos trąby Archanioła, umarli powsta- niemy z grobów swoich, a wtedy wzrok nasz nie zatrzyma się na budowach, ni na pięknych domach naszych, z których, ży- jąc chlubiłiśmy się, lecz widząc godło na- szego chrześcijaństwa, jak niegdyś żydzi u Jeremiasza zawołamy: „Kościół Pań- ski, Kościół Pański!” Jam chrześcijanin a tu kościół Boga mego! Oto chrześci- elnica, gdzie wiarę świętą przyjął! Oto stół Pański, gdzie tylekroć Ciało Jezu- sowe spożywał! Oto konfesyjonały, gdzie winy swoje wyznawał! Oto ambona, z któ- rej słowa Bożego słuchałem! I ze czcią- głęboką pochylał się czoła przed świąty- nią Bożą i wypełniał się serca wdzięczno- ścią największą. O zaiste, nie czekajmy bracia drodzy, onej chwili ostatecznej, by ocenić dobrodziejstwa naszego kościoła, lecz teraz za życia okazujmy mu naj- większe przywiązanie i uległość! Naśladu- jmy ojców naszych, którzy w kościołach czerpali owe wspaniałe natchnienia do wszelkich czynów swoich! Na łonie Ko- ścioła katolickiego rodziły się oni, żyli i umierali i kościół ten za duchowną a dro- gą ojczyzną sobie poczytywali.

FAKTY I ZDANIA

Intelektualiści katolicki

6 numer „Znaku” opublikował właśnie artykuł „wybitnego myśliciela katolickiego”, jak to lojalnie zaznaczono w przypisie, Jean'a Danielou, zatytułowany „Chrześcijańskie wobec marksizmu”. Pisma katolickie położyły już niewątpliwie poważne zasługi; na polu erystyki, artykuł Danielou jednak stanowi w tej dziedzinie wręcz rewelację. Tak doskonale metafizycznych argumentów nie używa nawet sam Jerzy Braun. „Przypominają nam rolę materii w życiu człowieka; przypominają nam uwarunkowanie ekonomiczne cywilizacji — zgoda. Zwracają nam uwagę na to, że nawet religie w swojej strukturze noszą piętno warunków ekonomicznych, w jakich powstawały; rzecz oczywista. Wiemy doskonale, że chrześcijaństwo ciągnie za sobą ślady struktury feudalnej. Hervé nam to często przypomina — i nie bez słuszności. Lecz gniewa nas, gdy ktoś utożsamia te martwe powłoki z rzeczywistością chrześcijańską. Materializm, choćby nawet dialektyczny, jest rozwiązaniem przeźralszym, jak pisał niedawno O. de Lubac: „Materializm historyczny jest jedną z prawd podstawowych, których oczywistość sama rzuca się w oczy; lecz staje się całkowicie bezużytecznym, gdy trzeba wnikać w serce rzeczywistości”. (La Connaissance de Dieu, str. 16). Któż uwierzy, że religia Pawła to echo warunków ekonomicznych jego epoki, że Mahomet czy Budda dadzą się wytłumaczyć przez ustrój kasty lub plemion koczowniczych?”

„Materializm historyczny jest jedną z prawd podstawowych, których oczywistość sama rzuca się w oczy”. Pięknie, dlaczego więc O. de Lubac nie jest marksistą? Przeszkadza mu w tym „serce”. I to nie byle jakie serce: „serce rzeczywistości”. A coż my biedni wobec tak groźnego organu?

Jean Danielou woła tymczasem: „Któż uwierzy, że religia Pawła to echo warunków ekonomicznych jego epoki?”

Czcigodny panie Danielou, lepiej przygotować się na najgorsze. Po historii wszystkich można się spodziewać. Skoro uwierzono w Boga...

Lech Budrecki

Czy i to jest pisarstwo katolickie?

W 45 (102) numerze „Dziś i Jutro” zamieszczono na czołowym miejscu fragment nowej książki Papiniego („Listy papieża Celestyna VI do wszystkich ludzi”). Jest to list do poetów.

Nazwisko Giovanniego Papiniego należy do głośniejszych nazwisk 20-go stulecia w literaturze, zaś jego twórczość nosi w sobie znamiona epoki, której początek końca oglądaliśmy w latach minionej wojny. Papini odbył bardzo ciekawą i dość typową ewolucję. W młodości swej był autorem „Zmierzchu filozofów” sceptyczny i potrosze anarchista. Należał do grupy włoskich futurystów. Po pierwszej wojnie światowej stał się z ironicznego wolterianina wierzącym katolikiem, marzył o nawrocie do średniowiecza. U źródeł drugiej przemiany Papiniego znajduje się William James ze swą filozofią pragmatyzmu i teorii o „Will to Believe” („wola wiary”). W swym studium pt. „Od człowieka do Boga” wyznaje Papini, że przyjął tęzę Jamesa: „ryzyko wyboru aktywnego należy przekładać ponad wybór pasywny, w którym tai się zasada sceptycznej lub agnostycznej bezczynności”. Nic więc dziwnego, że przystąpił do ruchu, który był aż nazbyt aktywny. Zapewne i dziś pozostał Papini wyznawcą tej tezy. Wystarczy przeczytać list papieża Celestyna, by przekonać się o tym. Między „Pamiętnikami Pana Boga” a ostatnią powieścią Papiniego nie ma żadnej przepaści. Pisał Papini, że idee Jamesa należą do tych, które najbardziej ożywiły i zapodniły myśl współczesną. Zapodniły ją aż nadto! Łatwo było Papiniemu przejść poprzez pragmatyzm Jamesa do faszyzmu i wraz z d'Annunziem stać się duchowym przywódcą „nowego ludu”. Znamy wiele wypadków tego rodzaju. Dość wspomnieć tutaj Maurrasa i Hamsuna, a z naszych wykołajców Łobodzkiego. Jednak Papini nie jest wykołajcem: w jego książkach, od pierwszej do ostatniej, łatwo jest wysledzić ciąg ewolucyjny od anarchizmu do faszyzmu.

Casus Papini posiada na naszym terenie specjalny charakter. Katolicki intelektualista od długiego czasu prowadzi kampanię w sprawie tzw. pisarstwa katolickiego. Szukają też pisarzy o głośniejszych nazwiskach, duży autorytet, którym by mogli przypisać określenie katolickich. Jakoś im się to nie udaje. Mauriac i Bermanos nie wystarczają. Nie są przy tym zupełnie ortodoksyjni. Ostatnio jako pisarz katolicki wypłynął Papini. Nic to, że ciąży na nim najgorsza zorożdnia ideologiczna: faszyzm. Zapomniano o tym. Powiedzmy sobie prawdę: literatury katolickiej nie ma! Dziś istnieją tylko dwie literatury: literatura postępu, literatura nowego człowieka, człowieka, którego narodziny widzieliśmy w tragicznych dniach minionej wojny, literatura par excellence demokratyczna, literatura Steinbecka, Szolochowa i Rudnickiego oraz literatura wstecznicstwa i kłamstwa, literatura próżni ideologicznej. — Jeśli już koniecznie chcecie mieć literaturę katolicką, to szukajcie jej gdzie indziej, ale nie u Papiniego. Zresztą najlepiej będzie, gdy ją schowacie czym prędzej pod sukno, inaczej zawsze będzie ona straszny widmem Torquemady.

Zdzisław G. Spieralski

„Ktoś zacz?”

„Jesteśmy katolikami... Jesteśmy Europejczykami... Jesteśmy Polakami...”

Zespół „Dziś i Jutro” z Janem Dobraczyńskim i Bolesławem Piaseckim na czele tak określa swoją postawę filozoficzną — społeczną z okazji jubileuszu tego pisma.

Niewątpliwie ogromne te słowa zawierają pewną treść przekonania i postaw. Nie każdy zdobyłby się na odwagę tak grzmiących wyznań. Bo choć wielu z nas w Polsce urodziło się w katolickich rodzinach, z elementarza szkolnego dowiedziało się o narodowości („Kto ty jesteś? Polak mały!”), w gimnazjum uczyno się odróżniać na globusie Europę od innych części świata, jednak nie każdy bije się w piersi, aż dudni i nie każdy woła: „Jestem katolikiem, jestem Europejczykiem, jestem Polakiem. A to z tej przyczyny, że nie są to stwierdzenia takie, jakie się czyni w urzędzie meldunkowym o wyznaniu i przynależności państwowej. Za tymi wyznaniem z książką meldunkowej, gdy się je wypisuje jako hasła jubileuszowe, kryje się określona ideologia.

Nie, nie próbuj przekładać na język działacza zwrotów o tym, że trzeba żyć w Łasce i wychowywać innych w świetle Łaski. Nie zarzucać nabytego dzięki dostępnej ci wiedzy nawyku myślenia historycznego po to, aby zrozumieć, jak to możliwe, że jedna religia katolicka powstała poza czasem i poza przestrzenią i pozostaje ta sama „dla wszystkich epok, które były i będą”. Nie dociekaj, jakie to starcia mają się dokonywać między rewolucyjnymi kierunkami w tym momencie, gdy świat tak wyraźnie dzieli się na dwa obozy, przecież nie oboj rewolucyjnie.

Na wyspach Holenderskich giną nie-Europejczycy, w Indiach i Egipcie robotnicy i chłopci mrują z głodu i chorób, najbardziej europejska Grecja jest terenem rogiwki międzynarodowej, w Ameryce czarni nie-Europejczycy są pogardzani, lincolniani i niewolni. Nawet „Papież i Hierarchia” nie stroni od rozgrywek politycznych i umieszcza swe kapitały w bankach amerykańskich, nie-europejskich. A nam poprzez ciężkie lata wojny z faszyzmem przypomina się nie-zburzona jeszcze, piękna Warszawa, w której na każdym rogu rozlega się krzyk: — „Europa dla Europejczyków! Polska dla Polaków! Palestyna dla Żydów!”

Stawiając sobie konkretne zadania do spełnienia nie w „nowym”, oczekiwanym świecie, ale w świecie aktualnym i realnym, zadania gospodarcze i kulturalne, bądźmy skromni, wstydnijmy się gromkich słów! Choćby dlatego, aby nie przywoływać przykrych wspomnień.

Paulina Czyżowa

Dziś-jeszcze nie

Z artykułu Juliusza Nowak-Dłużewskiego w 105 numerze „Dziś i Jutro” („O typ kultury przyszłości”):

„Dzisiejsza tendencja kulturowa w Europie, szablonoowa, nakładająca jednakowy pokost na każdego członka społeczności duchowej jest pogwałceniem naturalnej różnorodności, wykreślonej przez rzeczywistość. Urbanizacja jest gwałtem przeciw prawom natury.”

„Ten zwrot do źródeł wszelkiej kultury narodowej, do ludu, ludu nie w wielkich skupiskach wielkomiejskich, ale do ludu wiejskiego, związanego od wieków i zawsze z ziemią i jej prawami...”

Z artykułu redakcyjnego w tym samym numerze „Dziś i Jutro” zamieszczonego na pierwszej stronie, dużym drukiem, w ramach („Wytyczne”):

„Nie możemy być w pełni zadowoleni z wyników wysiłku twórczego nas wszystkich, którzy uważamy się za katolików. Twierdzimy, że za mało, ciągle za mało mamy dokonań intelektualnych, kulturalnych i programowo wychowawczych; że nie wszystkie możliwości zostały wykonane. Zmiana tego stanu rzeczy staje się jednym z podstawowych obowiązków, jakie ciąży na nas w chwili bieżącej.”

Istotnie, z poglądem redakcji „Dziś i Jutro” należy się zgodzić, zwłaszcza po przeczytaniu cytowanego wyżej artykułu Dłużewskiego. Dla zadośćuczynienia prawdziwie jednak mała poprawka: za mało, ciągle za mało dokonań intelektualnych i kulturalnych, (może być jutro?), lecz dokonania programowo wychowawczych na modłę ideologii artykułu Dłużewskiego — chyba dosyć.

J. S.

Podróż po szosach bez drogowskazu

Bardzo interesuje mnie teatr. Bardzo chętnie czytam krytyki teatralne i zawsze chciałam się dowiedzieć, jak powinna wyglądać dobra recenzja. Nareszcie wiem — nauczył

mnie, rozjaśnił „mroki moich zrenic” Edward Csató z Nowin Literackich, który wrócił z podróży po Polsce i natychmiast napisał wzorową krytykę przedstawień, które obejrzał.

„Zanim zasiądę do pisania, zaczynam — powiedzmy — myć ręce” — zwierza się wielki krytyk. I myje te ręce i myje, przelewa „pianę mydlaną z dłoni do dłoni”, zastanawiając się przy tym, czy takie mycie nie prowadzi niepowodzeń zakochanego, którego „zmęczyły przykrości, jakie zgotowała mu miłość”. Nic dziwnego — pełna dystansu ośchłość krytyki pozwala tylko „troszeczkę poflirtować z aktorkami”, a on chciałby więcej... I dlatego snują się „rozważania długie, zło i smutne o nędzy i niedorzeczności wszelkich w ogóle uczuć”, które niewątpliwie, mówiąc słowami autora, mają znaczenie bardziej ogólne: zapamiętaj doskonale szpalty tygodników, cierpiących chronicznie na brak materiału.

„Pisząc nasze recenzje — żali się krytyk doskonały — przemierzamy tysiące szos, na których jakiś złośliwy diabełek poprzestawiał drogowskazy.” Cóż więc dziwnego, że otumaniony taką wędrowną recenzent zapomina wreszcie, od czego zaczął, a przede wszystkim, na czym i kiedy skończył... Ale to nie ważne, bo „krytyka teatralna jest zajęciem nie naukowym, lecz artystycznym”, więc musimy ją cechować „brak porządku i usystematyzowania”. Dlatego też nie trzeba kończyć studiów wyższych, aby zostać wzorowym recenzentem, wystarczy pojechać w podróż dookoła Polski, czasami bez drogowskazów, a potem cierpliwie i z namysłem myć ręce przez 20 minut. Oto recepta.

Czytelnik zaś „przerzucający skondensowane artykułki” dowie się, jak „rozniecać w sobie nowe żary” po momentach silnej depresji, w jakie wpada już po paru wierszach, wzorowej krytyki.

Podobno: „dopóki jest pasja, jest i nadzieja”. Nie!! Jest pasja, ale nie ma nadziei — na krytykę teatralną p. Csató.

Alina Nofer

Skąd to u Frasiaka?

Miło nam, że tzw. „czołowe pisma literackie”, tym razem „Nowiny” (nr 37), dają miejsce poetom i krytykom „chłopskim”. Twórczość Frasiaka niewątpliwie warta jest omawiania. Ale tym razem należy stanąć w obronie poety, którego krytyk nasz niesłusznie ośmiesza.

Stwierdziwszy, że „poezja Frasiaka wywodzi się z tych samych źródeł, co artystyczna pieśń ludowa, posiada podobną, niemożliwą do skutecznego naśladowania oryginalność, jak jakieś ludowe „czerwone jabłuszko” — krytyk, Stanisław Czernik przyrównuje dalej Frasiaka do Lenartowicza. W dalszej kolejności okazuje się, że ludowa poezja Frasiaka jest także klasyczna („nie ten „pseudo”, lecz renesansowy” klasycyzm), bowiem łączy rymską ścisłość z grecką fantazją. Renesansowa, „przedbarokowa prostota i czystość” Frasiaka jest więc „renesansem renesansu”. „To dosyć niespodziewane w naszej poezji”. Dalej Frasiak zestawiony zostaje jednym z Petrarą, Ronsardem, Kochanowskim (Treny) i Sepem Szarzyńskim (sonety). Tak powstaje uczesny szereg genetyczny: wszystko oczywiście jak grzech pierwotny zaczyna się od „czerwonego jabłuszka”, potem krocza kolejno: Lenartowicz, Petrarca, Ronsard, Kochanowski, Szarzyński i jeszcze Krasicki — i — Frasiak.

„U nas zresztą — pisze krytyk — nikt nawet nie próbował iść w ślady renesansu Kochanowskiego...” pierwszy Frasiak i „nikt nie rozumiał istoty stylu renesansowego w poezji...” pierwszy Czernik.

„Skąd to więc u Frasiaka?” — nie wiemy. Ale skąd to u Czernika? — wiemy dobrze.

Paulina Czyżowa

Dłubanie w zębach

Przysłowie powiada, że „czym skorupa od nowości nasiąknie, tym na starość traci”. I zupełnie słusznie. Ludzie wychowani w dawnej tradycji, jeszcze dziś pragnęliby młodzież chłopską według tych przestarzałych wzorów wychowywać. Wzory owe przypomniały się obecnie pewnej pani urodzonej z szlacheckim herbem na czoł, byłej dyrektorce gimnazjum żeńskiego, „Dostojna” ta pani mimo podeszłych już lat zna jeszcze dobrze obyczaje dworskie, wszelkie formułki towarzyskie i licho wie, jak się to jeszcze nazywa? Pomo „dobrym wychowaniem”. Tak to nazywa owa szanowna dyrektorka i na ten temat napisała pracę do druku. Niedługa, bądź co bądź jest tego piętnaście stron maszynopisu przeznaczonych na „pożyteczną” broszurę dla Uniwersytetów Ludowych. Mnie zaś jako pisarzowi chłopskiemu powierza zaszczyt-

na „misję” wyszukania i zjednania wydawcy na tę „wychowawczą” pracę.

Odłożyłem list i zabieram się do przeglądania przysłanej pracy. Tytuł brzmi: „Zasady dobrego wychowania.” Dedykacja: „Braciom i siostrzom ze wsi.”

A treść: wśród rozmaitych wskazówek znajdujemy takie: „Pamiętajmy tylko, żeby chodzić prosto, nie stawiać stóp do środka i nie rozstawiać szeroko kolan, gdy siedzimy”.

Zaprasza się gości na obiad, podwieczorek, kolację na kilka dni naprzód, aby zaproszeni mogli ułożyć swoje interesy i osobiste sprawy. Zaprasza się pisemnie, telefonicznie lub osobiście wtedy, gdy chodzi o dostojniejsze osoby.

„Rozsadzanie gości przy stole jest nieraz rzeczą kłopotliwą; żeby nikomu nie ubliżyć, żeby osoby dostojniejsze siedziały wyżej od młodzieży.”

„Dłubanie w zębach jest rzeczą nieprzyzwoitą. Jeżeli są wykałaczki na stole, można zastąpić ręką dół twarzy wyjąć przedko jedzenie.”

„Na zabawie prywatnej trzeba przede wszystkim przetańczyć najpierw z panią i z panem domu, a potem po kolei ze wszystkimi obecnymi paniami.”

„Nie słaść do stolika, kiedy się nie ma pieniędzy, lub gra dla nas jest za wysoka”.

Uprzytomniłem sobie, że to trochę za mało, że oprócz tej „świeckiej” broszury — podręcznika — przydałaby się broszura pouczająca młodzież, jak należy „Kościołowi dziesięcinie wiernie oddawać” i trzecia: „Manifest Lipcowy — to wołająca o pomoc do nieba straszna krzywdą magnatów i fabrykantów”

Tak to powinno iść w parze — te trzy wzory wychowania powinny być rozpracowane w Uniwersytetach Ludowych. Bo jakże inaczej? Jak już uczę po dawnemu — to należy być konsekwentnym i realizować wszystkie wskazania średniowiecza. Zaapelować na raz do kilku byłych pań dyrektorek i panów dyrektorów z szlacheckiego rodu, by według własnych gustów broszurki napisali. Nic by też było ostemplować owe broszurki znaczkami z dopiskiem: „Na pomoc średniowiecza”. No i odpustami też przyłożyć. Tak szczerze, po trzystu dniach z jednorazowe przeczytania.

Chodziłoby tylko o wydanie tych prac. No i o pośrednika też, bo ja już staję okoniem i ani rusz! — nie przyłożył ręki do tego „pożytecznego” dzieła. Na taki kawał nie naciągnie mnie nawet znajoma pani dyrektorka. Wolę już, by przyszli wychowankowie Uniwersytetów Ludowych jak bądź dłubali w zębach, niech bez forsy siadają do kart, niech tańczą „nieprzepisowo”, niech sadzą przy stole osoby, jak im się żywnie podoba, niech, wyżej lub równo, niech nawet na obiad zapraszają wtedy, gdy woda na jałowy żur zaczyna już kipieć w garnku, niech wcale nie kichają przy jedzeniu, niech stawiają stopy w czasie chodzenia, jak im najwygodniej. — Niech będą nieokrzesani, niech będą pokraczni, ale przynajmniej nie zarażeni wstecznictwem szlacheckich wzorów wychowania — będą wartościowymi ludźmi, świadomymi swych celów życia... Wtedy prędzej zaświeci nam słońce.

Post scriptum:

Nie jestem zupełnie przeciwny ukazaniu się tej broszury, ale dlaczego dla Uniwersytetów Ludowych?

Czyżby w tej formie chciała iść ze spóźnioną pomocą starym Tulowcom przeciw „Drogowskazom” Króla?

Józef Pogan

Gimnazjum dla dorosłych ZMW „Wici”

Na skutek licznych zapytań napływających z terenu Dyrekcja Korespondencyjnego Gimnazjum dla Dorosłych Z.M.W.R.P. „Wici” (Łódź, Al. Kościuszki 45 — podaje do wiadomości, że z powodu ciągłego napływających zgłoszeń przedłuża termin zapisów do 1.1. 1948 r. (do wszystkich klas).

Blizsze informacje są w Regulaminie Gimnazjum (otrzymać można w Sekretariacie). Całoroczna opłata wynosi 2.100.— zł. Uczniowie otrzymują za tę sumę podręczniki lub zastępujące je skrypty ze wszystkich przedmiotów. Język obcy do wyboru: francuski lub niemiecki. Rok szkolny trwa 8 miesięcy, po czym uczniowie składają egzamin, otrzymując w razie pomyślnego wyniku zaświadczenie równoważne zaświadczeniom w normalnych szkołach państwowych.

W OSTATNIM 46 (125) NUMERZE „WSI” z dnia 30 listopada 1947 r.:

Wiesław Jażdżyński — Spółdzielczość dawniej i dziś; Witold Jedlicki — Trzeci zjazd ZZLP; Ze Śląska: Bronisław Mazur — W kołach; Most na Polskę; Wyjątki z Wrocławskiej Mowy Prezydenta Rzeczypospolitej; Witold Łukaszewicz — Zagadnienie socjalne rewolucji (2); Stanisław Lewicki — Społeczna służba zdrowia; Teodor Goździkiewicz — Triumf Zarembiny; Głosy o szkolnictwie — Stanisław Kulczyński; Eugenia Krassowska; Zenon Wróblewski; Julian Treutler; Wacław Sobierajski — dobre rady ???; Maria Miśkiewicz — Plotki o duchach; Seweryn Skulski — Pięćmi naprzód; Z. S. — Zabezpieczenie czego?; W. J. — Humanizm; Piotr Pigwa — Wiciowa matematyka; M. Janicki — Gazety i książki; 5 ilustracji, ogłoszenia, komunikaty; 8 stron.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji — Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.— zł, kwartalnie 120.— zł, półrocznie 240.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P K O ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, żwirki 2. D-017872